

BEZ
DEKRETU

NR 15 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków

„SOLIDARNOŚCI”

NR 15

Kraków - 1986

Spis treści:

1. Radosław Nowak - Wiersze	3
2. Sprawność a egalitaryzm - Rozmawiają: Leszek Balcerowicz i Janusz Jankowiak	4
3. Jerzy Surdykowski - Rozpad i kiełkowanie	9
4. Barbara Baryła - I co dalej? - W odpowiedzi Lechowi Wałęsie	17
5. Polak Nowoświecki - Myśli rozsierzonego racjonalisty .	20
6. Lesław Malészka - Jeszcze o stanie wojennym	25
7. Ewa Nawój - Wiersze	28
8. XXX - Ruletka Levi-Straussa	30
9. Anatol Lubuski - Komu potrzebny jest zamordyzm między- narodowy	32
10. Caspar Weinberger - Pokój wraz z wolnością	35
11. Anglio, czas powstać! - Z Aleksandrem Sołżenicynem rozmawia Bernard Levin	38
12. Józef K. - Europa Środkowa: anegdota i historia	48
13. Leszek Szaruga - Wiersze	59
14. Jerzy Korczak - Nieznaczný ruch gąsienicy	60
15. List do Redakcji	69
16. Konrad Struga - Szare okulary	71
17. Janusz R.Kowalczyk - Myśli i absurdeski	72

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów -
z wyjątkiem moich - Konrad Struga

© Copyright by BEZ DEKRETU
Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Dziękujemy SPEKULANTOWI Z H. - za 200
ROBERT KOCH - podziękowanie za cenną pomoc

RADOSŁAW NOWAK

Student UJ, były więzień polityczny,
tłumacz literatury rosyjskiej, jeden z założycieli
i były redaktor paryskiego miesięcznika „Kontakt”
współpracownik wielu pism niezależnych
zginął tragicznie 2 września 1986 r.
przeżywszy 26 lat

WIELKANOC ' 85

RADOSŁAW NOWAK

Ustaje deszcz budzi się świt
Dojrzałe krople kraty złołą
Słońce je strąca w zamku zgrzyt
I znów zwycięstwo dnia nad nocą

Mówiłaś o francuskim kinie
Starych i nowych filozofach
Świat zawirował jak po winie
Promień zaplątał się we włosach

Głęboki wdech i chłodny mur
W Marii Panny biją dzwony
Wiosenny wiatr gna resztki chmur
Twarz obolała głos stłumiony

Un café crème w narożnym bsrze
Rozmowa znów niedokończona
Idziemy wolno po bulwarze
I znów wiatr bierze nas w ramiona

Świąteczny dzień znów x kalorii
"Jesteśmy w rękach humanistów"
Hosanna Bóg zmartwychwstał w glorii
Lecz nie dostaniesz moich listów

I znów żarówka mdło pulsuje
I myśli w klatce się szamocą
I znowu noc nad dniem góruje
I znowu piszę dziennik nocą

* * *

Natalii Gorbaniewskiej

Znalazłem kilka twoich wierszy
Wyszły spod farby koło pryczy
Ciekawe kto był tutaj pierwszy
Następnych nikt nie będzie liczył

Wpatruję się w odległe mapy
Daty biografie u wezgiowia
I wciąż pochłania biel etapy
I wciąż brskuje mi posiwia

SPRAWNOŚĆ A EGALITARYZM

Rozmawiają: Leszek Balcerowicz i Janusz Jankowiak

Janusz Jankowiak: - Sprawność systemu gospodarczego... Raczej wiadomo o co chodzi, gdy mówimy, że jakiś system gospodarczy jest bardziej, a inny mniej sprawny. Ale sprawność, to nie wszystko. Pytamy również: czy system nie powoduje nadmiernych nierówności? Niektórzy przywiązują do tego duże znaczenie. Nie sądzę, aby opcję egalitarną należało zbyć zwykłym wzruszeniem ramion, czy wystarczy przypisać ją do przestarzałej i skompromitowanej formacji ideowej. Pogląd, według którego wzrastającej sprawności systemu gospodarczego towarzyszą rosnące koszty społeczne, zasługuje na dyskusję. Chciałbym jednak porozmawiać z tobą nie tylko o tym, ale również trochę o samej klasyfikacji systemów gospodarczych...

Leszek Balcerowicz: - Na wszelki wypadek spróbujemy jednak określić jskos pojęcia sprawności systemu gospodarczego. Nie da się tego, niestety, zrobić tak precyzyjnie, jak w przypadku urządzeń technicznych. Mówiąc o sprawności gospodarczej ma się zwykle na myśli takie zjawiska, jak: innowacyjność, oszczędność zużycia zasobów, zdolność dostosowywania się gospodarki do zmieniających się okoliczności, szybkość zaspokojenia popytu konsumentów, różnorodność dostępnych na rynku dóbr. Systemy gospodarcze, jak wiadomo, wyraźnie różnią się pod tymi względami.

- Skoro wspominałeś o tych różnych systemach - czy nie sądzisz, że tradycyjny podział na socjalizm i kapitalizm przestał być współczesnie uzasadniony z powodu zmian, jakie przeszedł klasyczny kapitalizm?

- Są dwa problemy z tym podziałem. Po pierwsze - sam socjalizm i kapitalizm są pojmowane różnie. Dla socjaldemokratów system socjalistyczny musi, z definicji, zapewniać demokrację polityczną i mieć silne instytucje redukowania nierówności majątkowych i dochodowych. Niektórym to wystarcza dla uznania systemu za socjalistyczny, inni wymagają ponadto, aby występowały w nim liczące się nieprywatne formy własności, choć rzadko chodzi im o własność państwową. Z kolei przy dominującej własności prywatnej i braku rozwiniętych instrumentów redukowania rozpiętości mówi się na Zachodzie, raczej zgodnie, o kapitalizmie. System zaś bez demokracji politycznej i z wyeliminowaną lub silnie ograniczoną przedsiębiorczością prywatną, na rzecz własności państwowej, określa się tam, na ogół, jako komunizm.

U nas, przynajmniej w terminologii oficjalnej, za kapitalizm uznaje się każdy system ze swobodną prywatną przedsiębiorczością. Jest to cecha konieczna i wystarczająca. Takie pojęcie kapitalizmu obejmuje więc - jako przypadek szczególny - to, co dla niektórych socjaldemokratów jest socjalizmem. Natomiast we wspomnianej terminologii socjalizm musi obejmować nieprywatne formy własności środków produkcji na zasadzie wyłączności lub przynajmniej dominacji.

- Mówiłeś o dwóch problemach. Jaki więc jest ten drugi?

- Dychotomiczny podział nakazuje wrzucać do jednego worka systemy bardzo różne. W ten sposób do worka o nazwie "kapitalizm" trafia, na przykład, system typu filipińskiego czy chilijskiego - oraz szwedzkiego. Zaś do drugiego - "socjalizm" - wpada skrajnie scentralizowany system komunizmu wojennego oraz silnie rynkowy system samorządowy. Ten ostatni nigdzie wprawdzie dotąd nie został w pełni wprowadzony, ale nawet jako "produkt teoretyczny" musi zostać zaliczony do wspólnej ka-

tegorii z komunizmem wojennym. Aby wyraźnie uchwycić różnice między istniejącymi współcześnie, a tym bardziej wyobrazalnymi, systemami gospodarczymi, trzeba więc operować znacznie subtelniejszą klasyfikacją.

- Czy możesz wyobrazić sobie system gospodarczy, gdzie dominowałyby inne formy własności od znanych w krajach zachodnich, czyli jakieś formy własności nieprywatnej, a o wyższej sprawności?

- Jeśli trzymać się doświadczeń historycznych, to odpowiedź byłaby negatywna. Nie sprawdziły się nadzieje związane z centralnym, dyrektywnym planowaniem, eliminującym rynek i konkurencję. Myślę, że nie mogły i nie mogą się one sprawdzić, na co zresztą wskazywano w dyskusjach ekonomicznych na Zachodzie już od początku tego stulecia. Przyczyny są raczej jasne: systemy oparte na takim planowaniu rodzą nieuchronnie silne zaburzenia we wzajemnych dostawach między przedsiębiorstwami /niedobory, szarpanina kooperacyjna/, co w świetle oczekiwań wiązanych początkowo z planowaniem, jest swego rodzaju paradoksem. Centralne planowania, zastępujące rynek, miało bowiem zapewnić wyższy stopień harmonii w gospodarce. Tymczasem urodziło tendencję nadmierne go zużycia wszelkich zasobów, w tym nawet i środowiska naturalnego, stworzyło bariery dla innowacji oszczędzających nakłady, a zarazem silne bodźce dla wprowadzania "innowacji" marnotrawnych. Przykład: choćby technologia wielkiej płyty w Polsce - jeden z powodów dramatycznego kryzysu budownictwa mieszkaniowego. Systemy takie poddają wreszcie decyzje inwestycyjne logice polityczno-biurokratycznego przetargu, który ma niewiele wspólnego z racjonalnością ekonomiczną.

- A Jugosławia, Węgry?

- Myślę, że pod niektórymi względami są to systemy sprawniejsze od typowo nakazowych. Dotyczy to zwłaszcza mniejszego stopnia niedoborów i słabszej tendencji do nadmiernego zużywania zasobów. Ale i one nie osiągnęły dotąd jakiegos zasadniczego wzrostu sprawności, szczególnie w dziedzinie innowacji. Przyczyn upatrywałbym w tym, że - wbrew częstym opiniom - przechowały się tam, do tej pory, niektóre podstawowe cechy systemu nakazowo-rozdzielczego. Gospodarki te są mniej rynkowe, niż się na ogół sądzi. Pozostał w nich mianowicie duży stopień zależności menadżerów od władz politycznych. Nadal występuje silna redystrybucja nadwyżki ekonomicznej z przedsiębiorstw do przedsiębiorstw poprzez organy administracyjne, choć w formach zmodyfikowanych w stosunku do klasycznego mechanizmu /rozmaite ulgi podatkowe, preferencje, kredyty, itp./. W Jugosławii realizują to głównie banki, poddane silnej kontroli regionalnych ośrodków partyjnych. Poza tym - i to jest już bariera doktrynalna wspólna dla wszystkich krajów socjalistycznych, związana z przyjętą koncepcją socjalizmu - w obu przypadkach, i Węgier i Jugosławii, występują bariery wobec indywidualnej przedsiębiorczości. Odbijają się to, jak sądzę, bardzo niekorzystnie na konkurencji, innowacyjności i zdolności adaptacyjnej gospodarki.

- Kiedy mówi się o gospodarce jugosłowiańskiej, myśli się o samorządności. Dotknąłeś zaledwie tego zagadnienia, dokonując generalnej oceny systemu. Myślę jednak, że - biorąc pod uwagę warunki polskie - koncepcja samorządności zasługuje na bardziej wnikliwą analizę.

- Widzisz, samorządność pracowniczą sprowadza się często do koncepcji typu jugosłowiańskiego, to znaczy takiego, w którym pracownicy otrzymują - bezpośrednio oraz przez prawo wyboru rady pracowniczej - uprawnienia do kierowania przedsiębiorstwem wyłącznie na tej podstawie, że są pracownikami, a nie przez wnoszenie wkładów kapitałowych. Ta forma samorządności może być, jak sądzę, wyraźnie sprawniejsza niż system nakazowo-rozdzielczy, jeśli jednak będzie realizowana pełniej niż w praktyce Jugosławii. Oznacza to, między innymi, stosowania wobec takich samorządowych form ostrzych rygorów finansowych. Nie da się te-

go zrobić bez prawdziwie komercyjnych banków i bankructwa. Potrzebne jest także spore, konkurencyjne "otoczenie" firm prywatnych i, oczywiście, konkurencja zagraniczna. System typu jugosłowiańskiego ma jednak poważną koncepcyjną słabość, którą dzieli, jak wspomniałem, z systemem nakazowo-rozdzielczym. Wskutek wyeliminowania udziałów uniemożliwia on mianowicie zakładanie nowego przedsiębiorstwa przez grupę wapińników. Jako założyciele nowych firm mogą występować organy administracyjne i, ewentualnie, już istniejące przedsiębiorstwa samorządowe. W pierwszym przypadku mamy problem ekonomicznej racjonalności decyzji, w drugim zaś - wątpliwość, czy istniejące przedsiębiorstwo zechce stworzyć sobie konkurenta. Poza tym istnieje dość dobrze uzasadniona teoretycznie twierdzenie, że firmy samorządowe mają ograniczoną skłonność ekspansji, a więc, między innymi, i tworzenia nowych zakładów.

Samorządność oparta na wkładach kapitałowych pracowników jest znacznie wcześniejszą koncepcją przedsiębiorstw samorządowych. Jedną z jej form są przecież spółdzielnie, oczywiście nie w wersji etatystycznej, a zgodniej z pierwotnymi założeniami, czyli samodzielne. Inną formą są pracownice spółki kapitałowe, gdzie - w odróżnieniu od spółdzielni - uprawnienia decyzyjne udziałowca-pracownika są proporcjonalne do jego wkładu. Samorządność tego typu może rozwiązać problem samodzielnego tworzenia przedsiębiorstw przez osoby fizyczne, a więc niezależnie od państwa i od istniejących już przedsiębiorstw. Daje ona w ten sposób szansę tworzenia przedsiębiorstw typu newcomers, głównych nośników innowacji i konkurencji w krajach zachodnich.

- Sprawny system gospodarczy, to - według ciebie - system rynkowy?

- Sądzę, że żaden system nierynkowy nie może, na dłuższą metę, osiągnąć tego stopnia sprawności co rynkowy. Choć, oczywiście, prawdopodobne są systemy rynkowe niesprawne, na przykład wskutek wadliwej polityki gospodarczej lub rozdawania uprawnień monopolistycznych przez państwo. Każdy system można zepsuć. System rynkowy nie oznacza, rzecz jasna, gospodarki bez państwa. Oznacza system bez działalności państwa, która ma zastępować działalność przedsiębiorczą lub paraliżować rynek przez rozmaite administracyjne restrykcje.

- Wyższa sprawność. Świetnie. A bezrobocie?

- Wyższej sprawności systemu rynkowego można rzeczywiście przeciwstawić silniejszą niż w systemie nakazowo-rozdzielczym tendencję do jawnego bezrobocia. Jest przedmiotem wielkiej debaty wśród ekonomistów, czy to nieuchronne, czy też można temu jakoś zaradzić. Do niedawna sądzono, że istnieje niezawodny środek - kształtowanie globalnych wydatków w gospodarce przez państwo, czyli uprawianie polityki keynesowskiej. Zdawała się ona sprawdzać w latach 60, kiedy bezrobocie na Zachodzie praktycznie nie było. Wyraźny wzrost bezrobocia w następnej dekadzie, a także nowe prądy w zachodniej ekonomii zachwiały także tym przekonaniem.

Brak jawnego bezrobocia w systemie nakazowo-rozdzielczym oznacza jednak, jak wiemy, nie tyle pełne zatrudnienie, co pełne "uetatowienie" - możliwość powszechnego zapewnienia miejsc pracy, choć nie zawsze samej wydajnej pracy. Jest to głównie efekt uboczny niskiej sprawności, tendencji do nadmiernego angażowania zasobów oraz stałych zaburzeń dostaw między przedsiębiorstwami, co powoduje okresy przymusowej niskiej aktywności, którą trzeba nadrabiać pod koniec kwartału czy roku. W tych warunkach opląca się przedsiębiorstwom utrzymywać rezerwy zatrudnienia, tym bardziej, że nic to nie kosztuje, bo środki i tak używa się "z góry". Duża załoga może być na dodatek ważnym argumentem w walce o te środki, na przykład o podwyżki płac.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, że większa pewność miejsca pracy, nie

uwzględniająca kosztów niskiej sprawności systemu, który ową pewność daje, jest istotnym czynnikiem komfortu psychicznego.

- I ten komfort miałyby być ozymą w rodzaju rekompensaty za niższą konsumpcję?

- Jest to, w sumie, kiepska rekompensata. Sądzę też, że gdyby istniał rzeczywisty wybór między systemem dającym pewność zatrudnienia, ale opłacaną ofiarami w sferze konsumpcji, a systemem z mniejszą pewnością i wyraźną przewagą w dziedzinie konsumpcji - to większość osób wypowiedziałaby się za tym drugim. Od siebie dodałbym, że taki system, choć niewątpliwie bardzo wymagający wobec pracowników, mógłby mieć też przewagę i w dziedzinie warunków pracy. Umożliwiłby bowiem lepszą organizację pracy w przedsiębiorstwach. Praca źle zorganizowana i nierytmiczna, mimo że mało wydajna, bywa przecież bardzo uciążliwa, fizycznie wyczerpująca.

Oczywiście, przy próbie przejścia od systemu nakazowego do rynkowego, pojawiłyby się pewne szczególne problemy, zwłaszcza jeśli w punkcie wyjścia - tak jak w Polsce - jest trudna sytuacja gospodarcza.

- Kwestia "przejścia", czy jak mówią inni "ścieżki dojścia" wymagałaby jednak odrębnej dyskusji. Nie chciałbym wprowadzać jeszcze jednego wątku do tej rozmowy.

- Dodałbym więc tylko, że właśnie ze względu na tę złą sytuację gospodarczą i mimo kłopotów czekających na "ścieżce", lepiej byłoby próbować przejść do systemu rynkowego, niż trwać przy nakazowo-rozdzielczym lub doń zbliżonym. "Przejście", choć trudna, stwarzałoby szansę wyrwania się ze stagnacji gospodarczej, na co nie ma wielkich nadziei przy "trwaniu".

- Pora na kilka słów o egalitaryzmie. Narosło wokół tego zagadnienia sporo nieporozumień. Po pierwsze, należy wyjaśnić, co rzeczywiście znaczy to pojęcie. Czy mówimy o równości szans, czy dochodów? Czy chodzi nam o stan faktyczny, czy też o świadomość społeczną, o pogląd, jakie nierówności są dopuszczalne, a jakie już nie? Zaczniemy może od rozpiętości dochodów. Czy faktyczny ich rozkład uzasadnia tezę, że Polska jest krajem egalitarnym?

- Badania na ten temat są utrudnione ze względu na brak niektórych danych, szczególnie informacji o niejawnych dochodach, związanych z uprzywilejowanym dostępem do dóbr w krajach socjalistycznych. Zrobiono jednak pewna porównania na Zachodzie, oparte na danych z lat 60 i 70. Wynika z nich, że europejskie kraje socjalistyczne - z wyjątkiem Czechosłowacji - mają średnio podobny stopień nierówności, co kraje zachodnie. Część zaś krajów RWPG, w tym Polska, ma większy stopień nierówności, niż państwa skandynawskie i Wielka Brytania. Stopień ten nie jest, oczywiście, mierzony jako absolutna rozpiętość między najbogatszą i najuboższą jednostką w społeczeństwie. Stosuje się tu pewne standardowe miary statystyczne, odbijające różnice między średnimi dochodami grup od 40 procent najbiedniejszych, do 10 procent najbogatszych obywateli.

- Prowadzi nas to do poszukiwania związku między stopniem sprawności gospodarczej a egalitaryzmem.

- Już przytoczone dane wskazują, że nie ma tu ścisłej zależności. Zbliżonemu poziomowi rozpiętości dochodowej mogą odpowiadać różne stopnie sprawności systemu; podobnemu poziomowi sprawności - różne stopnie nierówności. Tak, na przykład, Stany Zjednoczone i Szwecja nie różnią się chyba szczególnie pod względem sprawności gospodarek; Stany mają jednak dużo większy stopień nierówności. Bardzo niska sprawność może występować przy bardzo silnej nierówności. Tak będzie wtedy, gdy wysokie dochody osiągają osoby mało produktywne, a niskie - osoby

potencjalnie wysoce produktywne. Liozy się więc nie tylko statystyczna rozpiętość, ale również kto ile otrzymuje.

Wszystko to nie oznacza, oczywiście, że nie ma żadnego związku między sprawnością a egalitaryzmem. Po pierwsze - całkowita równość dochodów musi, w każdym warunkach, tłumić bodźce do zwiększenia wydajności i wysiłku, a więc i sprawność. Po drugie - system gospodarczy potencjalnie wysoce sprawny - w mojej opinii system rynkowy - może wykorzystać ten potencjał tylko przy pewnej, dość dużej, rozpiętości dochodów, choć - jak dowodziłyby przytoczone dane - nie musi być ona kolosalna. Trzeba jednak dodać, że rozpiętość niezbędna dla sprawnego funkcjonowania systemu rynkowego musi być, prawdopodobnie, większa, gdy mamy do czynienia z niskim poziomem rozwoju gospodarczego.

- Przejdźmy do zagadnienia egalitaryzmu wpisanego w społeczną świadomość. Istnieje obiegowa opinia, że społeczeństwo ma nastawienie bardzo egalitarne.

- Jeśli rozumieć przez to, że część ludzi uważa za niedopuszczalne dalsze zwiększanie rozpiętości dochodowych - to rzeczywiście, tak chyba jest.

- Wypadałoby zastanowić się nad przyczynami.

- Otóż wydaje się, że niechęć do znacznych rozpiętości dochodowych wynika w dużej mierze z przekonania, że ci, którzy mają dużo, nie zasługują na to, bo ich dochody są rezultatem przywilejów lub nieuczciwości. Protest może więc budzić nie tyle sama skala rozpiętości, co spostrzegany sposób osiągania wysokich dochodów.

- W piśmie "Gospodarka Planowa", numer 5/85 ukazał się tekst Leny Kolarskiej-Bobińskiej, w którym znajduje się wiele celnych, moim zdaniem, wniosków. Autorka twierdzi, między innymi, że poprzez tendencyjną kampanię propagandową usiłuje się stworzyć wrażenie, jakoby wszelkie różnice poziomu dochodów, standardu życia, były wynikiem spekulacji, cwaniactwa i złodziejstwa. O przywilejach ta kampania milczy. Wpływa się tym samym na wzrost deklaracyjnych nastrojów egalitarnych, a to znajduje natychmiast odbicie w wynikach tak zwanych sondaży opinii publicznej.

Egalitaryzm rozumieć można jako równość szans lub równość rezultatów. Zdaniem autorki, badania - na przykład Polacy'80, Polacy'81 - wskazują, że ludzie interesuje głównie równość szans. Wynikałoby z tego, że polski egalitaryzm niczym nie różniłby się od powszechnie pod tym terminem rozumianego dążenia do sprawiedliwych, ze społecznego punktu widzenia, kryteriów podziału. Nie byłby więc żądaniem bezwarunkowej "urawniłowki" dochodów. Ponieważ jednak ludzie nie dostrzegają możliwości wpływu na równość szans, nacisk kieruje się na równość udziałów.

- Cieszę się, że wspominałeś o tym rzeczywiście interesującym artykule. Wypada mi tylko dopowiedzieć, że jeśli taż Kolarskiej-Bobińskiej jest słuszna - mnie trafia ona do przekonania - to zwiększenie równości szans wpłynęłoby na akceptację nierówności dochodów.

- Słyszysz się często tezę, że egalitarne nastawienie społeczeństwa polskiego stanowi główną przeszkodę dla wprowadzenia reformy rynkowej.

- Jest to zapewne jakaś przeszkoda, choć - jak wynika z naszej rozmowy - dałoby się ją w poważnym stopniu ograniczyć. Nie jest to jednak, moim zdaniem, przeszkoda najistotniejsza. Mam wrażenie, że argumentu o egalitarnym nastawieniu ludzi często nadużywa się, aby uzasadnić brak zdecydowanych kroków, które prowadziłyby do gospodarki rynkowej. Ta watrzeniżliwość wynika głównie z innych przyczyn, takich jak: opór grup podwiązanych pod system nakazowy, bariery doktrynalne, strach, obawa ryzyka, czy w końcu jakieś inne jeszcze czynniki poza-ekonomiczne.

/Tekst zdjęty przez cenzurę z "Tygodnika Powszechnego"/

Rozpad i kiełkowanie

Opozycja traci wpływy. Wprawdzie ukazuje się wciąż nieprzeliczone mnóstwo podziemnych wydawnictw, wprawdzie wąsaty robotnik-noblista w setkach tysięcy PRL-owskich mieszkań po dawnemu zadziornie spogląda z kalendarzy, plakatów i znaczków, ale coraz słabszy jest reakcja na wezwania i apele, maleje liczba zapaleńców gotowych narażać swą wolność a przynajmniej skórę, niepostrzeżenie lecz niepowstrzymanie wybiera cichy przypływ apatii i zniechęcenia, a nawet rocznicowe msze, kiedy śpiewając "Boże coś Polskę" wznosimy dżonie rozcapierzone w znak zwycięstwa, nie są już jak niegdyś tłumne. Zachodni dyplomaci z coraz lżejszym sercem wykreślają z kalendarza swych warszawskich spotkań te kłopotliwe rozmowy z "prywatnymi osobami", albo te jeszcze bardziej niezręczne i ukradkowe wizyty na żoliborskim grobie. A do tego teraz, gdy piszę te słowa, aresztowanie Borusewicza... Takie są gorzkie polskie myśli u progu roku 1986, piątego już - a coraz bardziej ubożego w nadzieję - roku umundurowanej "normalizacji". Ku czemu to zmierza? Co z nami będzie?

NAUKI Z POLSKICH KRZYŚÓW

Na dzisiejszy stan spraw polskich warto spojrzeć z perspektywy poprzednich kryzysów społeczno-politycznych. Sierpień ani też stan wojenny - mimo całej swej wyjątkowości - nie były w naszej powojennej historii ewenementem. Zbyt dużo i zbyt wiele razy już się to stało - od Października po Sierpień i od gomułkowskiej "przykrętki" po dramat grudniowej nocy - by nie próbować wyprowadzić stąd wniosków mogących choć trochę rozjaśnić dzisiejszy mrok. Brak takiej analizy i takiego spojrzenia jest chyba główną wadą licznych dziś tekstów nieoptymistycznie roztrząsających nasze polskie bóle i usiłujących sprostać naszym trwożnym pytaniom o przyszłość.

Najpierw podstawowe truizmy. Powojenna historia Polski charakteryzuje się znamiennej cyklicznością społecznych eksplozji prowadzących w konsekwencji do upadku aktualnie rządzącej ekipy komunistycznej, ogłoszenia kolejnej "odnowy" i obarczenia poprzedników przez ich również komunistycznych następców winą za "błędy i wypaczenia". Po czym następują pewne ulgi i korzystne zmiany, ale wraz ze społecznym uspokojeniem - ograniczane, nawet w miarę możliwości wycofywane przez owych "odnowicielejskich" następców wracających pod nowym szyldem w zbliżone do starych koleiny polityczne. Stopniowe "przykręcanie śruby", odtwarzanie kryzysotwórczych mechanizmów polityki a zwłaszcza gospodarki, prowadzi znów do nieuchronnego kumulowania napięć aż do następnego wybuchu. Impulsem do tego wybuchu są zwykle niekorzystne zjawiska gospodarcze /podwyżki cen!/, a siłą zmiatającą z historycznej sceny zużyta i znienawidzona ekipa - robotnicy. Są oczywiście także eksplozje jakby "niepełne", kiedy do zmian na szczycie i ogłoszenia "odnowy" nie dochodzi, kiedy ów polski cykl kryzysowy nie zostaje zamknięty: tak było w marcu 1968 i w czerwcu 1976, kiedy to społeczne starcia wstrząsnęły murzącymi strukturami władzy, lecz władzy udało się zapanaować nad rozjuszoną ulicą. W takim wypadku jednak dość szybko /po dwu i pół, zaś w następnym wypadku po czterech latach/ dochodziło do eksplozji skutecznej, do zamknięcia kolejnego ognia kryzysowego cyklu. Tak więc średnia odległość czasowa pomiędzy "odnowami" wynosi od dziesięciu do najwyżej kilkunastu lat.

To wszystko jest na poziomie politycznego elementarza dzisiejszego Polaka, na poziomie dzisiejszych polskich pogaduszek, gdzie mętna nadzieje miesza się z bezsilnym gniewem, gdzie powtarzany jest namolnie ten nssz ukochany dziś truizm, "że to wszystko niedługo pieprznie" i że jak zwykle w awangardzie będą fabryki /niezbyt to korzystne dla zwolenników tezy o malejącej roli robotników, bo rzeczywiście wszystkie skuteczne przewroty były ich dziełem, s nic nie wskazuje by w przyszłości - po raz pierwszy w dziejach PRL - miśłoby być inaczej/.

Truizmy są jaskrawo prawdziwe /choć zdarza się śłepota nawet i na nie/, lecz trzeba pójść dslej w analizie, by na mroczne pytania o polską nsdzieję mieć coś więcej w odpowiedzi od płytkich ssmopocieszeń. Można by wprawdzie poświęcić osobny tekst dyskusji nsd tym, czy jest to jeden wielki i cyklicznie się msnifestujący kryzys komunizmu, konwulsje społeczeństwa o starych tradycjsch demokratycznych wtłoczonego w nie przystające do tych tradycji rsmys, czy to jednak ciąg kryzysów o odmiennych każdorazowo obliczsch? Albo nsd tym, czy w obrębie ustroju mogą zaistnieć struktury odporne na kryzys, a mające twarz bardziej ludzką niż stalinizm? Są to pytania ważne, pozostawmy je jednak za obrębem rozważań, bo niewiele z nich wyniknie dla oceny dnia dzisiejszego i perspektyw jutra, a wszak w tską właśnie próbujemy zwrócić się stronę.

Prswidłowością polskich kryzysów, ale też gorzką ironią historii jest fakt, że po każdym wstrząsie dochodzą do władzy "światli libersłowie" partyjni z minionego etapu, reslizujący - w rsmach kolejnej "odnowy" - tę politykę, która byłaby zbawienna dla ekipy właśnie upadłej, a przynajmniej znacznie przedłużyłaby jej trwanie. I tak, polityka Gomułki pewnie byłaby jak nsnszł dla Bieruta, a może nawet i Ochsbs; polityka Gierka uratowałaby Gomułkę; polityka Jaruzelskiego - z pewnymi swobodami związkowymi i ogrsniczoną reformą gospodarczą - okazałaby się zbawienna gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Tymczasem znisz w świsdomości społecznej poszły już tsk daleko, żądania wyartykułowane w ostatnim okresie politycznego wrzenia były tak śmisłe, że ta polityka - pewnie przyjęta z wdzięcznością i uznaniem przed laty - jest dziś odbierana jako niewystarczająca, a nawet znienawidzona; tsk dzieje się za każdym rzem - od Gomułki po Jsruzel-skiego - a dobrotliwi "światli libersłowie" zawsze okazują się o jedną odnowę spóźnieni, a stąd nie są w stanie ani nawiązać jakiegos rzetelnego kontaktu ze społeczną większością, ani nawet ustrzec się kolejnego potopu, który ich z kolei obarczy winą za "błędy i wypaczenia". Z tej perspektywy ich każdorazowe homeryckie boje na kolejnych plenach psrtyjnych komitetów tsk z twardogłowcami, jak i z tymi nie-dobitkami politycznego rozumu we własnym gronie, którzy chcieliby "pójść dslej" sby nareszcie przerwać ten zaklęty krąg niemożności, jawiłyby się jako humorystyczne, gdyby nie to, że za każdym rzem kraj pogrąża się coraz głębiej, a kolejne sznsne zostają nieodwołalnie zaprzepaszone.

Spółeczeństwo ma jednak pamięć i rozum, zdobywa wiedzę wolno, płeci za tę nsukę drogo, śle uczy się nieodwołalnie. Do znamiennych wniosków prowadzi śnalizs żądań i postulatów ysuwanych przez zbuntowaną ulicę, czy strajkujące zakłady w kolejnych przesileniach. Poznsński czerwiec 1956 sprowadzał się do postulatów ekonomicznych, zaś w październiku tego roku, kiedy wrzenie objęło cały kraj, jedynym wielkim ogólnonsrodowym żądaniem był powrót do władzy Władysława Gomułki. Była to jedyna w historii PRL chwila, kiedy w wolnych wyborach - gdyby takie zostały ogłoszone - zwyciężyłaby prawdopodobnie partia komunistyczna pod wodzą ukochanego przez lud "Wiesława". Jakby w niepamięć na fali październikowej euforii poszły gorzkie doświadczenia okresu bezpośrednio powojennego, doświadczenia AK, PSL-u, stslinowskich represji. Teraz miśło być inaczej, po nowemu, nikt nie pytał o gwarancje i instytucjonalne zabezpieczenia, wszystko sprowadzało się do

zmiany na szczycie partii. Zresztą organizacje partyjne wielkich zakładów przemysłowych i wyższych uczelni były siłą napędową Peździernika, a "Międzynarodówka" pieśnią powszechnie śpiewaną na ludowych wiecach; zresztą misją się to dokładnie, choć z innym zakończeniem, powtórzyć podczas czechosłowackiej "praskiej wiosny" w 1968 roku.

Co było dalej? - wiemy. 9 grudnia 1970 roku znów na czoło wybiły się postulaty ekonomiczne, ale już nie partia była siłą napędową protestu, choć wśród zbuntowanych stoczniovcw nie unikano jeszcze "Międzynarodówki" i czerwonej - obok białoczerwonej - flsgi. Ale nie było już entuzjazmu dla nowego partyjnego przywódcy, a przesławne "pomocemy" psdło nieskwapliwie, z ociąganiem... Co więcej, pojawiły się wyraźnie wysrzykuwane, choć jeszcze nieśmiałe, postulaty mające zabezpieczyć przed powtórzeniem się narodowego nieszczęścia: rotacje na wszystkich stanowiskach rządowych i partyjnych, prswa w prasie, rozdział prstii od rządu, wolne wybory w związkach zawodowych, likwidacja CRZZ. W Szczecinie w styczniu 1971 pojawił się nswet postulat wolnych związków. A w dziesięć lat później? Czy trzeba jeszcze raz przypominać, że pierwsze pozycje na słynnej liście 21 postulatów to żądania polityczne? O podwyżkę płac upomnieli się strażkujący dopiero na miejscu ósmym. Zmiany na partyjnym szczycie, zastąpienie Gierka przez Ksnię, nie wywoływały już podniecenia, nie rozbudzały nadziei. Śpiewano już tylko hymn i "Boże coś Polskę". Jskie sformułują żądania i jakie zaśpiewają pieśni Polacy podczas swego następnego zrywu?

Ale nie będziemy to już my, ludzie "Solidarności". Cykl polskich kryzysów uczy i tej gorzkiej prawdy: nigdy to samo pokolenie dwa razy nie zrywało się do buntu. To nie ludzie z PSL, AK i krwso rozbitej powojennej opozycji poszli na wiece i strajki w 1956 roku. To nie ludzie Peździernika byli bici w msrcu 1968 roku i nie oni przelali krew w grudniu dwa lata później. To nie zshsrtowani w Grudniu robotnicy ogłosili sierpniowy strajk i ponieśli przez Polskę jak sztandar swoje 21 postulatów. Owszem, trafiali ludzie poprzedniego zrywu do następnej feli, ale już nie jako siła napędowa, nawet nie jsko czołowi przywódcy. Doradzali, czssem przeszksdzali, nieraz służyli za chwalebny przykład, historyczną maskotkę, ale nigdy nie byli na czele. Nawet rola Wełęsy w Grudniu była marginesowa; pewnie i lepiej, bo żadna z wielkich postaci tamtych lat nie odegrała istotnej roli po dziesięcioleciu. To oczywiście: musi wejść w życie nowe pokolenie nie obszczone poczuciem klęski, sby na historycznej scenie odegrał dramt swego własnego - a nie pożyczonego u poprzedników - gniewu i nadziei. Tak będzie i tersz.

ROZSYPKA

Blisko sześć lat po Sierpniu, prawie pięć lat po grudniowej nocy nagle uruchomionych czołgów, znajdujemy się zapewne w połowie drogi pomiędzy kolejnymi wstrząssami. Ostatni z nich - tak jak każdy przecież - miał prócz wspólnych z poprzednimi, także swe cechy własne, niepowtarzalne. Wszystkie poprzednie zszynsiły się od przelewu krwi /czerwiec 1956 w Poznaniu, grudzień 1970 na Wybrzeżu/, ten jeden w sposób całkowiec pokojowy doprowadził do zmian na szczycie, znacznej liberalizacji w okresie "szesnastu miesięcy", a nswet zapoczątkował budowę autentycznych instytucji demokratycznych. Zspewne dlatego, że okres "cdnowy" był tsk głęboki i długotrwały, do "odmowy" trzeba było użyć czołgów, a zwyczajowe już przykręcenie śruby musiało być krwawe. Też w przeciwieństwie do okresów poprzednich, kiedy normalizację udawało się przeprowadzić cichutko, stopniowo, bezszklesnie... To zapewne dzisiaj będzie na rzecz przedłużenia się międzykryzysowej przerwy, bo psmięć represji i daremnie przelsnej krwi wyjątkowo mocno obciąża świadomość pokolenia "Solidarności". Tak ssmo, jsk na rzecz przyspieszenia wybuchu dzisiaj wyjątkowo niekorzystna sytuacja ekonomiczna, ns-

gromadzony gniew, liczebność opozycji, słabość wszystkich struktur państwa z wyjątkiem aparatu przemocy, powszechne niewiara w komunizm. Spór o datę należy jednak do dziedziny wróżbiarstwa, a nie polityki.

Cokolwiek jednak powiemy o sytuacji dzisiejszej i jej perspektywach, musimy zrozumieć, że żyjemy w okresie międzykryzysowego odpływu, że nie ma i nie może być dziś popytu na buntownicze spele, że baza dla wszelkiej opozycyjnej działalności musi się kurczyć, a nadzieje upadać. Stąd wszelki spór o właściwy czy niewłaściwy wybór terminu dla strajkowych wezwań, jaki po kolejnych porażkach wiodą opozycyjne tuzy, również jest chybiony. Właściwa odpowiedź brzmi bowiem: żaden! Jest to smutny, bolesny, lecz nieuchronny czas rozspyki i gnicia, kiedy to, co zostało po "Solidarności" musi się rozpaść, obumrzeć, a pewnie i rozproszyć. Klęska jest klęską, nawet jeśli mówimy o moralnym zwycięstwie. Zostaliśmy już przez historię skazani tak samo, jak skazani zostali ludzie Października czy Grudnia, tylko że nas jest o ileż więcej, stąd też nasz żal i nasza niezgoda na ów wyrok bardziej spektakularne przybierają formy. Nie możemy być niczym więcej niż żywną głębą dla jutrzejszych roślin. Przygotowanie wchodzącemu dziś w życie pokoleniu lepszych warunków i właściwszego startu w piekielnie trudną przyszłość, pomoc w meblowaniu głów i poszerzeniu świadomości jest właściwie wszystkim, czego jeszcze możemy dokonać my, ludzie "Solidarności". Ci, którzy przyjdą po nas zrobią TO inaczej, zrobią TO po swojemu, a może nawet zrobią TO wbrew nam. I tak już opuszczamy historyczną scenę, nawet jeśli rozpaczliwie bronimy się przed nieuchronnością, nawet jeśli w strachu przed ostatecznym zapomnieniem wciąż usiłujemy powołać się na swą rzekomą niezbędność. Lepiej z godnością i spokojem przystać na swe miejsce w wiecznym ciągu ludzi, spraw i pokoleń.

Lepiej zdaje się to rozumieć władza: unika kreowania męczenników, nieraz potrafi zdobyć się na dystans i obojętność, represje stosuje umiarkowanie, a przede wszystkim wybiórczo - tak w stosunku do całego "pokolenia "Solidarności"", jak do jego czołowych postaci. Ale nie w stosunku do najmłodszych: ona już wie, że to są jej najstraszniejsi - bo mający w ręku klucz do jutrzejszych zdarzeń - przeciwnicy. Uwaga władzy jest dziś zwrócona na młodzież; na tych zwłaszcza, którzy w "Solidarności" być nie zdążyli, dla których nie jest już ona świadomie ukształtowanym epizodem własnego życiorysu, lecz tylko opowieścią ojców lub starszego brata. Bo za tę marną, ubogą w sens i nadzieję rzeczywistość polskiego kryzysu bez wyjścia odpowiada przecież nie tylko sekretarz i zomowiec, ale także ojciec, starszy brat, Wałęsa, Kuroń z Michnikiem - wszyscy! Wszyscy, którym się nie udało; wszyscy, którzy osuwając się w historyczny niebyt pozostawili to najbardziej stracone ze straconych pokoleń samo ze swym losem i odziedziczoną katastrofą kraju. Stąd ustawa o młodzieży, stąd pełna poświęcone młodzieży, stąd próby otwierania przed młodymi jakichś furtek, usiłowanie wychowania ich we właściwym nareszcie duchu. Radziłbym dostrzegać przynajmniej te wysiłki.

Ale niestety władza jest więźniem dotychczasowej polityki; tej, która była prowadzona - z tskami czy innymi modyfikacjami - przez wszystkie minione dziesięciolecia PRL, przez wszystkie poprzednie międzykryzysowe a przecież i tak prowadzące do kolejnych starć okresy; tej, która obowiązuje we wszystkich państwach bloku. Po którejś tam z rządu burzy wszystko wraca w stare koleiny, jak w małżeństwie, kiedy i tak wiadomo, że zły, przeprosiny i miłosne zaklęcia są daremną, choć niezbędną krzątaniną mającą zagłuszyć nieuchronne kroki Losu. Jedyne bowiem wyjście, jedyne otwierająca jakąś perspektywę furka prowadzi poprzez reformę na tyle głęboką - obojętnie oddolną czy odgórną - że demontującą działający dotąd tak niezawodnie mechanizm kryzysotwórczy, tą pożądowaną godną sekwencję "odnowy i odmowy", "błądów i wypaczeń", rozbudzonej nadziei, które nie znajdują dla siebie kon-

struktywnego ujścia, gorzknieje przeredzając się we frustrację i bunt. Tego jednak ekipa Jeruzelskiego nie potrafi, tak jak nie potrafiły ekipy Gomułki czy Gierka. Być może różni się od swych poprzedników tym, że wie, bo przecież nauki z minionych kryzysów są dostępne dla każdego analizującego najnowszą historię umysłu. Ale cóż po wiedzy, kiedy jest się uwikłanym w interesy własnej grupy, jej polityczną tradycję, a w naszym przypadku i w zależności od ościennego mocarstwa? Na cóż się przydała wiedza i światłe przewidywanie rządzącym kręgom chociażby w Rosji ostatniego Mikołaja, we Francji ostatniego Ludwika, czy we wszystkich innych znanych w historii upadkach? Tem także odrzucano reformatorów i ich projekty, tam także nie było miejsca dla Kassandry. A więc ekipa generała Jeruzelskiego - tak jak jej wszyscy nieszczęśliwi poprzednicy i z tą samą polityczną ślepotą - odbudowie po wstrząsie kolejnej nieudanej "odnowy" ten sam co poprzednio mechanizm kryzysotwórczy: w partii, w metodach sprawowania władzy, w gospodarce, w propagandzie, w kulturze, w prawodawstwie, w aparacie represji, wszędzie. Znowu usiłuje realizować to, co mogłoby pomóc najwyższej poprzednikom, znowu nie potrafi wyjść poza "światły liberalizm" rodem z dawno i nieszczęśliwie minionego etapu, a bierność społeczeństwa oczywista w dzisiejszej fazie międzykryzysowego cyklu, tylko utwierdza rządzących w przekonaniu o trwałości wybranej drogi, tak samo jak utwierdzała Gomułkę i Gierka. Na naszą i naszą zgubę...

Cóż z tego, że może nawet wiedzą? Obstawiają się najwyższym wojskiem i aparatem bezpieczeństwa z tą samą polityczną ślepotą i zaufaniem, jakie towarzyszyły wszystkim minionym w historii upadkom. Siła potrafi tylko przesunąć moment katastrofy, nigdy odsunąć.

To samo opozycja. Cóż z tego, że jest nas tak wielu, skoro jesteśmy depozytariuszami koncepcji, owszem szlachetnej, lecz przegranej? Dlatego też nie pomoże ani wyciągnięta ręka Wałęsy, ani krzepiące serca i umysły wspaniałe piarstwo Michnika. Dlatego też nie żuźmy się, że sformułujemy program i przestaniemy też mieć wyrzuty sumienia z powodu jego braku. Programu nie ma i nie może mieć także władza, której jedynym celem jest przesunięcie daty kolejnego i pewnie jeszcze bardziej niż wszystkie poprzednie niszczącego - starcia. Nie może być programu, kiedy nie istnieje przestrzeń do jego realizacji. Zaś program na jutro, a raczej na pojutrze, program dla pokolenia, które przychodzi po "Solidarności", dopiero wyrośnie z tych dzisiejszych - zwykle dziś szlonych, nierealnych, ekstremistycznych a nawet pewnie i głupawych - manifestów, pokrzykiwań i utopii, jakimi dziś zajmują się przeróżne grupki nawiedzonych młokosów i politycznych oszołomków.

Dwa razy nie wstępuje się nigdy do tej samej rzeki. "Solidarność" długo będzie wielkim i pięknym mitem; nadzieją Polaków, podobnie jak Konstytucja 3 Maja niegdyś, jak "prawdziwy socjalizm" w Październiku. Ale nie idee i hasła "Solidarności" będą z tej przyszytej koparki wyprowadane i nie 21 postulatów będzie słuchał z zapartym oddechem ten jutrzejszy tłum.

PIĘKNE ZŁUDZENIA

Dlaczego jednak nie wyjść z tego przeklętego kręgu powtarzających się kryzysów i wciąż tej samej politycznej niemożności? Przecież istnieją wspólne wartości, takie choćby jak gospodarka, jak dobro narodu i państwa; przecież zawsze możliwy jest jakiś program minimum, jskies porozumienie w obrębie realiów, choćby milczące i nigdzie nie zapisane. Tak powiadają jednym głosem zarówno "zwolennicy porozumienia" z kręgu władzy, jak i "realiści" z opozycji. Tak, to są ci "światli" po obu stronach, polskie centrum, ludzie umiarkowania, rozsądku i wyciągniętej ręki. Tak, sam do nich należę i moje sympatie są zlokalizowane tu właśnie. Ale co innego sympatie i usposobienie, co innego wprowadzone przez rozum wnioski: te ostatnie muszą być chłodne i wolne od złudzeń, niestety. Owszem, ileż tu rozsądnych ludzi i słusznych

propozycji, dobrych pomysłów i szlachetnych intencji... Weźmy "Doświadczenie i Przyszłość" z całym dziedzictwem tego szanownego gremium, weźmy Andrzeja Walickiego z jego sławnym artykułem w "Aneksie", weźmy publicystykę najróżniejszych "realistów" zwłaszcza prawicowych - w sumie bardzo rozsądne myślenie. Weźmy wszystkich - także w partii - na serio zainteresowanych powodzeniem reformy gospodarczej; przecież jest nas imponująco wielu! Sam nie tak dawno /wrzesień 1985/ na prośbę osób z bezpośredniego kręgu władzy napisałem memoriał prezentujący możliwości takiego otwarcia i porozumienia. Uczestniczyłem w dorocznym seminarium "warsztatu opinioznawczego" Centrum Badań Opinii Społecznej, gdzie przy okrągłym stole dyskutują o dzisiejszej Polsce zarówno ludzie z kręgu władzy, jak z PRON-u, jak i z opozycji /jest to bodajże jedyne miejsce gdzie taka dyskusja jest jeszcze prowadzona!/. Znam stamtąd, czy choćby z kontaktów jakie mi jeszcze sprzed grudnia 1981 pozostały, wielu ludzi z kręgu władzy i widzę, jak z rosnącym przerażeniem patrzą w przyszłość, uświadamiając sobie to fatalne zsuwanie się kraju w polityczną i gospodarczą przepaść, tę przerażającą niemożność znalezienia odwracającego kryzysową sekwencję wyjścia w obrębie dotychczasowej polityki. Czyż to nie budujące? Czyż nie warto postawić na ich rozum i dobrą wolę? Czyż nie należałoby im nareszcie zaufać?

Tuż przed napisaniem tego tekstu miałem możliwość zapoznania się z napisanym w grudniu 1985 roku pod kierownictwem profesora Mariusza Gulczyńskiego pod auspicjami Rady Krajowej PRON opracowaniem "Stan i potrzeby porozumienia narodowego w połowie lat osiemdziesiątych". Broszura ta miała być raportem o stanie, perspektywach i barierach porozumienia, miała pokazywać możliwości jego poszerzenia i rozwoju. Jest to więc materiał wielkiej wagi przeznaczony na sesję Rady Krajowej PRON, przedstawiający społeczeństwu jakąś obiecującą - bo nie zatwierdzoną jeszcze formalnie przez władze państwowe - propozycję porozumienia i reformatorską - publiczny owoc usiłowań owych "świątłych i rozsądnych" w orbicie rządu. Smutna to niestety propozycja i potwierdzająca wszystko, co dotąd napisałem o nieszczęsnym uwięzieniu tych "liberałów" w wytyczonych od dziesięcioleci koleinach, w polityce jak raz dobrej dla dawno i bezpowrotnie minionego etapu. Góra urodziła mysz, czego się można było poniekąd spodziewać. Wśród słusznych, lecz ogólnikowych zdań typu: "odformalizowanie, ożywienie i rozbudowanie demokracji", "zapełnienie próżni społecznej", "stworzenie szans aktywności ludziom nastawionym krytycznie", bardzo niewiele jest konkretnych. Wymienia się jako bariery w drodze do pogłębienia porozumienia takie fakty jak nie dopuszczenie przez władze do utworzenia klubów im. Staszica, Stowarzyszenia Opiekunów Społecznych i Towarzystwa Reformy Mieszaniowej, wytyka się potęgę cenzury blokującą proces społecznego porozumiewania, który winien być przecież wstępem do porozumienia jakiegokolwiek. Prawie nic nie wspomina się o ugrzęźnięciu reformy gospodarczej, o kontrofensywie centralnej biurokracji, która sprawia, że lata 1983-85 zostały dla reformy praktycznie zmarnowane. I to wszystko w dokumencie wewnątrzorganizacyjnym, nie przeznaczonym jeszcze do szerszego rozpowszechnienia. Taka jest niestety granica możliwości, a kto wie czy i nie odwagi naszych "świątłych liberałów", gdy wypowiadają się bardziej publicznie niż na "czerwonej kanapie" albo przy "okrągłym stole". Trudno... Szanuję większość z nich, uznaję ich dobrą wolę, doceniam ogrom czasu straconego na daremnych nieraz zabiegach o to, by władze dopuściły na ekrany jakiś nieprawomyślny film, zalegalizowały jakieś marginesowe stowarzyszenie, zezwoliły na spotkanie jakichś kontrowersyjnych dyskutantów. Ale to wszystko jest tylko takim samym cieniutkim popiskiwaniem, jakie uprawialiśmy w latach siedemdziesiątych, kiedy na naszych oczach rozleżała się "Druha Polska" i kiedy wszystko szło w kierunku kolejnego dramatu; takim samym jakie uprawiali nasi pełni dobrych chęci poprzednicy w przedpokojach stare-

go Gomułki. Owszem, coś się w ten sposób załatwia, jakieś sprawy popycha, zyskując wzajemnie poczucie spełnionego obowiązku, a nawet utrudzenie we wspólnej i pełnej słuszności sprawie. Tylko, że nasz wspólny wóz wciąż toczy się po tych samych, co poprzednie, od kolejnego nie-szczęścia prowadzących koleinach. Trzeba byłoby nie popiskiwać, lecz krzyknąć, bić na alarm, przedstawić społeczeństwu i władzy wielki program reform wyprowadzających nareszcie poza ten do znużenia znany i ze złym skutkiem sprawdzony szlak. Tak dzisiaj, jak za Gierka, za Gomułki, zawsze... "Ależ to niepolityczne, nie na czasie, ONI tego nie zaakceptują!" - zewożają w tym miejscu jednym głosem "światli liberałowie" od Gierka, od Jaruzelskiego, wszyscy... Jeśli historia powtarza się już tyle razy, to tylko jako tragiczna farsa.

Piękne złudzenia, na które nieuleczalnie chorzy są zarówno "światli liberałowie", jak i "rażliwi realiści" odywają niczym niezmożone zielsko na tyle razy już wypalonym kraterze. Bardzo to ludzkie i bardzo daremne. Program który uratował by ten kraj jest do napisania w ciągu paru godzin, po co go zresztą pisać, skoro jest napisany - choć w solennym sosie naukowych wywodów - w znanej książce "Polska pięć lat po Sierpniu" albo w postaci bardziej skondensowanej w wielu tekstach publicystycznych nie tylko prasy niezależnej, także w tych w prasie oficjalnej, które biją na trwogę z powodu ugrzęźnięcia i upadku reformy gospodarczej. Ale nie da się wmówić reform jakichkolwiek nie mając samemu wpływu na bieg rzeczy. Konstruktywny program opozycji musiałby wesprzeć się o podobny program władzy, przynajmniej o jej reformatorską wolę. Bez tego wciąż pozostaje pobożnym życzeniem bezsilnych. Czy taki program albo przynajmniej wola nie mogą - jeśli nie dziś, to jutro - zaistnieć, jeśli nie z warszawskiego, to choć z moskiewskiego impulsu? Przecież jest tylu światłych, przecież Gorbaczow.. Wrócemy więc do punktu wyjścia. Wiecznie zielone zielsko nigdy nie spełniającej się nadziei... Wobec uwikłania w grupowe interesy warstwy sprawującej władzę, wobec całej nięszczęsnej tradycji politycznej byłoby to prawdziwy cud. Cudów nie wolno wykluczać, nawet w polityce, choć obawiam się, że ich limit na wiek XX został wyczerpany przez cud nad Wisłą, wybór Karola Wojtyły na tron watykański i powstanie "Solidarności". Ale liczenie na cud jest grzechem przeciw rozumowi. Dlatego memoriały o zbawiennych koncepcjach poczytają sobie tylko opozycjoniści a co najwyżej SB-cy, "światli" zgorzknieją w swych bezużytecznych koncepcjach z poprzedniego etapu, zaś "realiści" okażą się najbardziej nierealistyczni.

PO „SOLIDARNOŚCI” ...

Coraz większą rolę w społecznym i politycznym życiu Polski będzie odgrywało to pokolenie, dla którego "Solidarność" jest tylko opowieścią albo co najwyżej epizodem mało znaczącym, bo przeżytym we wczesnej młodości. Biologia pracuje nieubłaganie na rzecz takiego właśnie układu, jak pracowała po Październiku, czy po Grudniu. Władza o tym wie, ale w istocie niewiele może uczynić w obrębie dotychczasowych kolein politycznych, a zwłaszcza bezradziejnie wlokącej się zapaści gospodarczej. W Polsce gierkowskiej usiłowano analogiczne pokolenie przekupić dobrobytem, małym fiatem albo chociaż wyjazdem na zagraniczny zarobek; nawet jakiś czas wyglądało to zachęcająco, ale na koniec to właśnie pokolenie potulnie skandujące "Gierek - partia!" na wiecach w katowickim "spodku" albo na warszawskim "stadionie dziesięciolecia" obrodziło żywiołem "Solidarności". Dziś z dobrobytu pozostała góra długów, z małego fiata - najwyższej klęskson, a emigracja może być szansą tylko dla nielicznych. To pokolenie nie ma już złudzeń i skazane jest na Polskę bez złudzeń - tę, która jest, rozchwianą, bezradziejnie chorą, wtłoczoną w układ, którego nikt nie akceptuje i na obronę którego nikt nie znajduje lepszego gestu niż wskazanie palcem na wschód. Perspektywa, jaką temu pokoleniu przedkłada rząd, to posłu-

szeństwo, strach przed pałką i silna praca, w wyniku której poziom społecznego dobrobytu z 1978 roku osiągnięty będzie gdzieś w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Perspektywa, jaką oferuje nam tradycyjna "posolidarnościowa" opozycja, to trzy lata więzienia za druk nielegalnych gazetek, podpisywanie nikogo nie obchodzących petycji i czekanie na cud, który nigdy nie nastąpi. PRON proponuje im dialog w grupie "Consensus" albo w Towarzystwie Reformy Mieszkaniowej, ewentualnie jakąś publiczną dyskusję pod warunkiem tylko, by nie pozostał po niej - broń Boże! - jakis piseny a nieprwomyślny ślad. Kościół oferuje im modlitwę i od czasu do czasu kilka słów prawdy w kazaniu jakiegoś odważniejszego księdza, ale jakże to mało, gdy ma się dwadzieściakilka lat i w sercu zapiekły żal do wszystkich, którzy zostawili nam tę Polskę bez złudzeń, ześlizgującą się w dobranym towarzystwie Bułgarii i Rumunii na dno Europy. Bo to pokolenie wie, że na własne mieszkanie może liczyć dopiero w XXI wieku, na prawo do własnego zdania - nigdy, zaś nawet ciekawa i pewna praca, która przez parę dziesięcioleci była oczywistym strybutem socjalizmu, też coraz bardziej przesuwę się do sfery niekoniecznie zniszczalnych merzeń. Nie wiem, kto mógłby zaoferować mu coś wiarygodnego i realnego zarazem? Może najprędzej rząd, gdyby odkładając na bok ideologię zaczął pragmatycznie otwierać pola dla wyżycia się, gry, a nawet bogacenia w sferze gospodarki, czego mglistą obietnicę zawierała osadzona dziś na mieliznie reforma. Gdyby z tym samym chłodnym pragmatyzmem patrzył przez palce na krzyk, protest i samoorganizację wiedząc, że to i tak się wypali, gdy najaktywniejsi pozakładają własne firmy i porosną w piórka. Ale to wymagałoby już wyjścia poza utarte koleiny, poza nieszcześnie polski cykl kryzysowy. Wymagałoby wielkiej i przewidującej odwagi. Skoro jej brakuje - jak brakowało po Październiku i po Grudniu - to jest, jak jest i będzie to, co być musi...

To pokolenie jeszcze rozgląda się, jeszcze milczy, jeszcze czeka. Ale właśnie ludzie tego pokolenia tworzą kadrę przeróżnych partii, nielegalnych organizacji, ruchów i grup, jakie nie mają wiele wspólnego z "Solidarnością" i jakie powstają dziś jak grzyby po deszczu. Nie jest to moja sprawa, zbyt sobie zresztą cenię wcale nie tak dawno pozyskane rozkosze bezpartyjności aby kibicować temu zawłaszczaniu polityki przez generację od polityki odepchniętą, nie umiem nawet naszkicować politycznej mapy tej podziemnej kotłowniny. Przeważają w niej oczywiście efemerydy z dostępem do zdezelowanego powielacza, skazane na izolację dziś, a na nieodwołalne zapomnienie już jutro. Nie inaczej było przecież w czasach, które opisuje Giełżyński; wtedy także z chaosu tymczasowych bytów prowadziła droga ku świadomemu konstruowaniu historii.

Dziwić się? Potępić za gorącoogłową naiwność programów? Wołać - tak jak pewien mój przyjaciel - o jedność, o powstrzymanie tej eksplozji partyjniactwa? Daremnie. Koło dziejów obróciło się już o jakąś część swego kolejnego cyklu. Lepiej w katechizmie manifestów, okrzyków i potępienych swarów próbować usłyszeć mało jeszcze zrozumiały, lecz coraz wyraźniejszy głos jutra. Bo jest to nie tylko pokolenie jak żadne dotąd w powojennej historii Polski oszukane i pozbawione szans, ale pokolenie jak żadne dotąd antykomunistyczne i radykalne. Pokolenie zarówno kolejną ekipę władzy, jak i rupiecie po "Solidarności"; zachowajmy najwyżej sztandar i parę symboli. Chyba, że stanie się polityczny cud. Cudów nie należy wykluczać, ale w cuda nie warto wierzyć. Zawsze, zawsze we wszystkich ustrojach, we wszystkich epokach pojawienie się na scenie takiego "straconego pokolenia" bez złudzeń i szans okazywało się społecznym i politycznym dynamitem.

Być może to, co się w Polsce musi stać, okaże się tylko ślepą eksplozją społecznego gniewu, powrotem do grudnia 1970 roku, po którym

Jednak nie wstąpi na tron dobrotliwy Gierek, lecz zapadnie jeszcze ciemniejsza od dzisiejszej noc. Ale jeśli w tym, co się stanie, będzie choć trochę samoorganizacji, kierownictwa i świadomej woli, to wyartykułowane żądania będą jeszcze bardziej polityczne niż w roku 1980 i bynajmniej nie ograniczą się do płaszczyzny związkowej czy obywatelskiej. Stanie problem władzy, partii i wyborów. A więc rewolucji. I pewnie właśnie dlatego, że nie ma już złudzeń, że pytania o polską nadzieję zostały doprowadzone do ostatecznych konsekwencji, ten międzykryzysowy okres może być wyjątkowo długi a jednocześnie powikłany i nim zamknie się w obalejącej kolejną ekipę eksplozji, zavrze w sobie wstrząsy niepełne, poronne - na podobieństwo 1968 czy 1976 roku. Tylko czy ten kraj, to państwo, ta gospodarka jeszcze je przetrzymają? Bo, że wstępując dziś w życie pokolenie znajdzie w sobie dość siły i wściekłości to pewne...

Kiedyś Piłsudski napisał ironicznie, że "Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi". Obojętnie czego Polacy chcą, czego się lękają i czego pragnęliby uniknąć, to cena jaką każę im uiścić historii - o ile rzeczywiście biegnie opisaną tu koleiną - będzie znacznie, znacznie wyższa.

Kraków, styczeń 1986

JERZY SURDYKOWSKI

I CO DALEJ ?

W ODPOWIEDZI LECHOWI WAŁĘSIE

Zenim wyrosną przewodnicy stąd, nie ma żadnych przewodników znikąd. Pan Wałęsa w wywiadzie zamieszczonym w "Bez Dekretu" nr 13 nieomylnie określa obecny etap rozwoju ruchu społecznego w Polsce. Po gwałtownej mobilizacji lat 80-82 trwa obecnie okres spokoju, a właściwie totalnego zastoju. Liczyć teraz na zorganizowany protest, na zmasowane wystąpienie społeczne nie można i pan Wałęsa zdaje sobie z tego sprawę najlepiej. Z kolei powtarzalność wielu komponentów sytuacji pozwala uznać za pewną kolejną, gwałtowną falę społecznego protestu. Powtarzalność polskich kryzysów nie pozwala społeczeństwu na przyjęcie postawy całkowitej zgody w stosunku do reżimu. Okresy zastoju, przedłużające się niemal do dziesięciolecie /1958-1968/, choć coraz krótsze, pozwalają rządzącemu w Polsce reżimowi przetrwać. Nie jest ta polska cykliczność rozwiązaniem społecznie najgorszym, co zakreślać może na stwierdzenie cyniczne, lecz stanowi, jak mi się wydaje, jedynie konstatację, że tkwi w tym skarykatyzowana forma kontroli opozycji nad rządem, która w ustrojach parlamentarnych funkcjonuje legalnie w ramach pluralizmu partyjnego i wybija się na pozycję jednej z istotniejszych instytucji regulacyjnych wewnątrz systemu.

Rozumiem jednak, że panu Wałęsie najważniejsza zdaje się na obecnym etapie społecznej stagnacji szansa zachowania, przetrwania pewnych "solidarnościowych" imponderabiliów, wzmocnienia siły oddziaływania polskich kryzysów tak na społeczeństwo, jak i na rząd, poprzez różne zaznaczenie faktu bezpośredniego wynikania i kontynuacji każdego z nich przez poprzedni. Aż do "kryzysu" zwycięskiego, który połączy się kiedyś z jakimiś sprzyjającymi okolicznościami zewnętrznymi i zaprezentuje nas jako społeczeństwo silne, świadome, prowadzące konsekwentną walkę o swoje prawa. Jest to idea nienowa, kontynuująca doświadczenia z okresu zaborów. Do kolejnych protestów przeciw reżimowi

przystępować winni ludzie świadomi tradycji i korzeni swojej postawy, czujący się spadkobiercami hasła Października, Marca, Grudnia i Sierpnia, świadomi także popełnionych wtedy błędów. Myśląc o tym zapewne, pan Wałęsa zwraca się do "mózgowców", by pamięć pokoleń wspomogli i na piśmie zrekapitulowali kolejne etapy, wskazując drogi walki i przemian najbardziej sprawdzone i efektywne. Mem w tym przypadku poważne wątpliwości, czy pan Wałęsa, zwracając się do intelektualistów z kręgu "Solidarności" z wezwaniem o "programy" nie wyświadcza im zbytniego zaszczytu i nie przecenia ich generalnie. Albowiem, gdyby "mózgowcy" wiedzieli co robić i jak, nie ukrywali by tego na pewno, lecz napisali by już dawno. Jeżeli zaś dotychczas tego nie uczynili, to zapewne z dwu, krzyżujących się przyczyn - że do napisania mają niewiele i że nawet tego, co jest, napisać nie chcą, bowiem na pozycjach ozdób ludzkości pozostając rozbawili się beznadziejnie i sami oczekują od tzw. prostego człowieka, że wyjdzie raz na kilka lat na ulicę i tę ich wysoce dekoracyjną funkcję uwiarygodni. Nie ma to jednak być paszkwil na "robiącą w opozycji" inteligencję. W tej chwili istotniejsze dla nas i wymagające bliższych dowodów jest twierdzenie, że nie ma ona wiele do napisania. A pisze, wbrew wszelkim utrudnieniom i restrykcjom, pisze. Szkoda tylko wielka, że mało czyta. Niedawno jeden pan przeczytał Dmowskiego i zrobiła się z tego dyskusja na całą Polskę. Szkoda, że tylko Dmowskiego przeczytał.

Trzeba bowiem zdać sobie sprawę, że większość słusznych rozwiązań ustrojowych została już na świecie gruntownie opisana w aspektach organizacyjnych, funkcjonalnych, źródłowych, metodologicznych, porównawczych itp. Polskiemu robotnikowi na nic się nie zda pamięć o polskich miesiącach, nie zrozumie ich znaczenia bez pojęcia wagi wspólnych dróg myśli ludzkiej ku wolności człowieka.

Jeżeli w tej chwili padnie argument, że nasze szczególne położenie geograficzne i nieszczególny rozwój historyczny wymagają rozwiązań ekstradynaryjnych, to nie mogę się na to zgodzić. Co więcej, uważam to za niewątpliwie główny błąd wszelkich myślicieli politycznych w Polsce, nie tylko z naszej generacji. Ale naszej szczególnie. W obecnej bowiem chwili jedyną naszą szansą jest zdanie sobie sprawy, że jesteśmy częścią świata, Europy, Zachodu. Świat zachodni są to w końcu pewne, określone wartości, występujące w systemie współzależności i wzajemnego wynikania. Tyle już razy udowodniliśmy, od ponad tysiące lat, swoją wspólnotę z ideami Zachodu, że bez żadnych wątpliwości mamy pełne prawo czerpać z jego osiągnięć, czuć się współposiadaczami wolności, równości, czy indywidualizmu Zachodu. Śmieszne jest w wieku masowego komunikowania rozzwierzenia szat nad brakami w tradycji polskiego ruchu związkowego. Mają je w końcu Anglicy, mają i Niemcy, pisali o nich papież i komuniści. Kupić można dziś na czarnym, światowym rynku ponoć i bombę atomową, a historii związków zawodowych nie można? Niech się kto tam chce ekscytuje "polską drogą do socjalizmu". My możemy mieć tylko nadzieję na przyłączenie się do wspólnej drogi ku socjaldemokracji zachodniej. Wymogiem chwili jest hasło uniwersalizacji polskich problemów, odnalezienie ich w kontekście problemów świata. Toutes proportions gardées i Ameryka jest wielka, gdy, jak obecnie, myśli globalnie, uniwersalnie, a melutka, gdy zamyka się w kręgu własnych spraw i obsesji.

A właśnie - Ameryka. Tworzyła się z niczego, z garści rozsypanych kolonii nie połączonych wspólnym etosem, tradycją, kulturą. Ameryka nie miała korzeni. Ma je teraz. A powstała i ukształtowała się ostatecznie w lat - no może pięćdziesiąt. Pewnie dlatego, że Ojcowie Założyciele nie rozpoczęli dywagacji na temat niepowtarzalności geopolitycznej trzynastu amerykańskich kolonii uzależnionych od Starszego Brata w Londynie, lecz wystąpili przeciw niemu a równolegle, korzystając z wszelkich osiągnięć myśli światowej napisali ten cud politycznej funkcjonalności - Konstytucję Stanów Zjednoczonych.

Twierdzą, że nie ma granic w racjonalnym naśladowictwie w dziedzinie myśli politycznej i społecznej. Proszę mi nie mówić, że Amerykanie, walcząc przeciw Anglii sięgali właśnie do jej osiągnięć intelektualnych i że zastosowanie angielskich wzorów na gruncie amerykańskim powiodło się, bo w Ameryce większość ludności stanowili protestanci i anglosasi. Przeczy temu chociażby fakt oparcia się przez twórców USA jednak przede wszystkim na myśli piszącego w mrokach francuskiego absolutyzmu Karola Monteskiusza. Zresztą historia podsuwa nam tu przykłady bardziej jeszcze skrajne. Ghandi, dający swemu krajowi idee wzięte wprost z myśli Amerykanina Thoreau, czy Lenin, budujący swoje komunistyczne imperium w oparciu o zasady Merksa.

Oczywiście, idee, które znajdują zastosowanie w jednym kraju, a pochodzą z innego miejsca i czasu muszą być twórczo przetworzone. Ale jest to etap kolejny. Pierwszy zaś polega na tym, że się je pozniej i innej drogi nie ma. Wyłączenie się z ogólnego kontekstu rozwoju idei w naszym kręgu cywilizacyjnym powoduje po prostu samounięcie się poza jego nawias, a na takie coś stać np. Albanie, ale ze skutkiem natchmiastowym i wiadomym, a jakże odległym od naszych, choć nie przez nas wymyślonych, ideałów - dobrobytu i solidarności.

Robotnicy potrzebują programu - to pewne. Błędne jest jednak powszechne mniemanie, że program można napisać przed tym, nim jego założenia stawać się zaczęłą rzeczywistością. Nie. Programy najlepiej pisze się w trakcie stawania się nowego, lub tuż po. Każda rewolucja, tworząca nowy porządek prawny, tego dowiodzie; angielska /Bill of Rights/, francuska, czy amerykańska ze swymi Deklaracjami i Konstytucjami. I odwrotnie - pisaną "przed" Manifest Komunistyczny - jakiej dooczekali się realizacji?

Na razie więc komponenty przyszłych programów są, ale tkwią nie w dodających ducha i świetnie napisanych hasłach manifestów, lecz w grzybach, nierzedko nudnych, zekurzonych księgach. Nie robotnik je będzie czytał. Musimy się pofatygować semi, także i na jego pożytek, choć nie damy rady, co trzeba jasno powiedzieć, przewidzieć konsekwencji naszych laktur. Będzie to nauka, a nie prognoza, da nam świadomość czego chcieć a nie, jak do tego dojść, bo ten problem, to pewne, każdy rozwiązywać musiał w historii wyłącznie na własny użytek. Jednak z tejże historii wiadomo, że nie można powstrzymać ludzi dążących dowolnymi drogami do celu, jeśli stanie się on dla nich absolutnie pożądanym.

I tu zaczyna się wniosek konkretny, o który tak prosił pan Wałęsa. Trzeba dawać robotnikom do czytania porządne książki i nieustannie komentować prawdy stare i odwieczne a nic przez to nie tracące na aktualności. Po prostu oświetlać cel. Nawet hrabia Tołstoj nie szczędził swojego pióra na książeczki dla ludu. Nie opisywał w nich swoich rozdartych uczuć, gdy z okien pałacu śledził tłum więźniaków w carskie urodziny podążających na modły do cerkwi, także nie publikował wierszydeł o smutku egzystencji w reżimie, a radości poza. Ponieważ trudno byłoby w PRL o publicystę tak odpowiedzialnego i bezinteresownego jak Tołstoj proponuję, by wydawać w popularnych wyborach klasyków myśli społecznej i politycznej. Na początek chociażby to, co w oficjalnych wydaniach opuszczono z komentarzem na temat przyczyny owych breków. To wszystko - ale to nie jest mało. W końcu i Wielką Rewolucję Francuską trudno wyobrazić sobie bez Encyklopedii i encyklopedystów. Na razie zaś nasi rodzimi encyklopedyści zaniedbali poinformować pana Wałęsę, że w socjalizmie chodzi o człowieka, za co ten ma do nich żal, ze wszech miar uzasadniony.

Na marginesie jeszcze nie mogę się powstrzymać od refleksji, że szukanie specyficznych, "polskich" rozwiązań sytuacji politycznej to swoista odmiana właściwej nam magalomanii narodowej. Zrobiliśmy sobie, jak zaświadczył Kożakowski, pierwszą proletariacką rewolucję w dziejach świecie, czyli "Solidarność", a dalej nie potrafimy zdobyć

się na rzetelną i godną jej kontynuację, lecz serce nas boli, że już nie zadziwiamy świata. Pamiętajmy więc ciągle, co napisał mądry Polak o francuskim nazwisku, raczej Europejszyk, Jan Baudouin de Courtenay: "Polacy nie mogą się bawić w grande nation, więc też i szowinizm polityczny powinien być im obcym. Wszędzie jest on wstrętnym, ale opierając się na armatach i bagnietach, ma przynajmniej realną podstawę. Szowinizm szukający podstawy jedynie w przeszłości i w chorobliwych tworach wyobraźni jest tylko głupi i wstrętny".

BARBARA BARYŁA

MYŚLI ROZSIERDZONEGO RACIONALISTY

Rząd jaki jest każdy widzi. Ale nie każdy jednakowo widzi. Piotr Wierzbicki narobił niemało zsmieszania głośnym pamfletem "Myśli staroświeckiego Polaka", w tym także tezą, że w Polsce zawsze rządziła lewica, stąd całe zło, czas więc wrócić do Dmowskiego i dać prawicy szansę. Zgrabne to, tyle że z faktami na bekier. Według każdej bowiem metodologii definicje prawicy i lewicy będą podobne. Prawica - to rządy autorytarne, ograniczające wolność, stawiające na represje, rządy przeniknięte nacjonalizmem i szermującą ksenofobią, co wcale nie wyklucza aerywilizmu /vide Pétain/, zapatrzone głównie w przeszłość i w niej szukające odwiecznych jakoby prawideł i postaw. Lewica z kolei - to dążenie do maksymalnej wolności, to solidarność z innymi nierodami, to obrona słabych przed silnymi, uciskanych przed uciskającymi, to krytyczna ocena przeszłości i patrzenie w przyszłość.

Gdzież więc według tych kryteriów - które uznaje zresztą także Wierzbicki - "lewicowość" polskiej wśdzy? Nie było jej u rządów przedwojennych. Piłsudski wprowadził zaczął jako socjalista, ale szybko wywedł z tego kręgu idei, podobnie jak Mussolini czy inni. Nie był więc rządzony przez lewicę kraj Brześćcia i Berezy, kraj milionów bezrobotnych i bezrolnych, uciskanych mniejszości narodowych i tysięcy więźniów politycznych /p. Mały Rocznik Statystyczny 1938, str. 353/. I pozostawmy tęskne wzdychanie ze "dśwnymi, dobrymi czasami" niedouczonym młodym ultrasom i sklerotycznym starym nostalgikom.

Po II wojnie światowej, w pierwszym okresie realizowany był rzeczywiście program częściowo rewolucyjny, lewicowy. Reforma rolna, likwidacja analfabetyzmu, upowazecznienie ewansu społecznego, a nawet początki industrializacji - to wazystko mieściło się w pojęciu rządów lewicy. Trwało to jednak niedługo. Z jednej strony wpływ i nacisk potężnego sąsiada, który dawno już przeszedł był od rewolucji do imperializmu, narzucał Polsce niezbyt postępowe - eufemistycznie mówiąc - wzorce rządzenia. Z drugiej strony ważnym czynnikiem szybkiego przestrajania się rządów na prawo - była słabość lewicy w Polsce /w najlepszych czasach wszystkie odłamy na lewo od centrum grupowały nie więcej niż 1/3 głosów w wolnych wyborach, przy tym nad częścią lewicy, tą komunistyczną, ciążył garb kolaboracji a nawet agencuralnych powiazań ze znienuwidzonym zaborcą rosyjskim/.

Nic więc dziwnego, że ten reżim azybko po wojnie dogedał się z resztkami ONR /np. Piasecki/ a tępił demokratów, socjalistów, liberałów; nic dziwnego, że w czterdzieści lat później ciągle hołubi starych andeków, jak Dobraczyński i inni. Ostatecznie z programu Dmowskiego więkazość została zrealizowana: Żydów już nie ma, masonów chyba też, z Roają żyjemy dobrze, granicę na zachodzie posunęliśmy jak daleko się tylko da, kraj jest narodowościowo jednolity. Czegóż wię-

cej chcieć? Że znacjonalizowany przemysł? Przecież pierwszym "nacjonalizatorem" był Otto von Bismarck, gospoderkę turecką niemal całkowicie zetatyzował faazyzujący Kemal Atatürk, nawet brazylijscy reacyjni generałowie wybudowali państwowy sektor przemysłu zbrojeniowego, który czyni z tego kraju wielką potęgę międzynarodowego handlu bronią. Ale za to mamy wszystkie inne cechy prawicowe w naszym rządzie PRL: autokretyczny sposób sprawowania władzy, ciągle "doskonalenie" prawnego systemu represyjnego /jest to wręcz papierek lekmuaowy - gdzie tylko prawice dochodzi do władzy, natychmiast zasotrza kodeks karny i przywraca karę śmierci, jeżeli została zniesiona/. Mamy nacjonalizm i zapatrzanie w przeszłość, mamy obłudne moralizatorstwo i ciągle nawoływanie do "moralnego odrodzenia narodu" /czyżby nie wiedzieli, że z tego "odrodzenia" bierze się słowo "sanacja", używane przed wojną przez piałudczyków?/.

Nic więc dziwnego, jeżeli by trzymać się marksowskiej, klasowej analizy - że to właśnie klasa robotnicza kilkakrotnie występowała w powojennej Polsce, niekiedy nawet bardzo ostro, przeciwko tym prawicowym, wyszukującym i uciskającym rządóm.

Mamy więc w Polsce władzę, która /poza oficjalną retoryką/ nawet coraz mniej udaje, że jest lewicowa, która nie widzi niczego złego w eksporcie węgla do krajów, gdzie strajkują górnicy, a natomiast panicznie boi się swobodnej wymiany myśli. Nie przypadkiem kilka lat temu skonfiskowany został podpisany literkami artykuł Marksa przeciwko pruskiej cenzurze. Był to przecież artykuł wymierzony przeciwko ograniczeniu swobód obywatelskich przez rząd p r a w i c o w y.



Piętno prawicy nosi na sobie również cały system sprawowania władzy i partia rządząca. Decydowanie na sposób mafijny, przez szefa lub kilku wybrańców, jest głęboko sprzeczne z jakąkolwiek lewicą. Nie tak wyglądały rządy tuż po Rewolucji Francuskiej, ani w czasie Komuny Paryskiej, którą Marks uważał za pierwowzór, ani nawet w pierwszych latach po Rewolucji Październikowej. Tajemniczość, decyzje gabinetowe, podejmowane w "imieniu narodu, mas, społeczeństwa" były widomą oznaką, że rewolucyjna początkowo władza wkracza już w swój Termidor. Nie ma ostatecznie żadnej różnicy między hasłem okraszającym przed wojną wszystkie płoty we Włoszech: "Il Duce ha sempre ragione" /Duce ma zawsze rację/, a powielanym miliony razy twierdzeniem, że "rukowództwo wsiegeda lucze znajet". Nic też dziwnego, że motto Marksa, wpisane do pamiętnika córki: "O wszystkim należy wątpić" zastąpione zostało przez slogan, że "partia ma zawsze słuszną linię", a jeżeli nie - to znaczy, że ktoś tam się chwilowo pomylił, ale inni szybko naprawią.

W Polsce nie używa się już wprowadzić hasła "partia-monolit" /choć jest ono nadal w użyciu w zaprzyjeźnionych krajach/ ale dalej zakłada się de iure istnienie takiego monolitu. Wszyscy jednak wiedzą, że to fikcja, że rządzą grupy nacisku tworzące między sobą układy. W tej chwili decydującą grupą nacisku jest skrajny "beton" partyjny, który deje o sobie znać przy każdej okazji - czy chodzi o wybory na zjazd neo-literatów, czy też zebrania i konferencje. To uwstecznienie nie jest niczym wyjątkowym jeżeli zważyć na skład socjalny partii, która po krwotoku lat 1980-1982 i po uprzednich jeszcze wymóddzeniach /w tym w roku 1968/ w ogromnej większości grupuje różne aparaty: cały korpus oficerski, całe MSW, całą nomenklaturę gospodarczą, polityczną i administracyjną, a więc elementy z natury rzeczy zachowawcze, wrogie przemianom. Nie wiele już - z pośród ok. 2 milionów członków - miejsca pozostaje na tzw. zwykłych ludzi.

Odpowiednikiem "betonu" w partii jest frakcja "stalożerców" w rządzie i gospodarce, której zawdzięczać należy stopniowe odchodzenie od zasad reformy gospodarczej i wyłączenie z niej coraz to większych obszarów ekonomiki, rozbuchanie inwestycji w dziedzinie środków produk-

cji /zwłaszcza w hutnictwie/ ponad wszelką miarę. W efekcie, w wyniku podzięu pracy wewnątrz RWPG, przewidującego koncentrowanie się gospodarki polskiej na metalurgii - produkujemy już więcej stali na głowę ludności, niż np. Francja, choć nie mamy tak atalochłonnych przemysłów, jak np. semochodowy. Ale za to ta polityka inwestycyjna skutecznie blokuje wszelką restrukturyzację przemysłu, wzmagając inflację, co uderza przede wszystkim w biednych. Czy to jest polityka lewicowa?

Dochodzimy do następnej cechy rządów prawicowych: szermowanie demagogią społeczną. Nie mogąc przyrzec ani wygodnego życia doczesnego /na to nie pozwalają warunki/, ani szczęśliwego życia pozagrobowego /na to nie pozwala liturgia/ partia kieruje całą uwagę na zwalczanie "patologii społecznej". Dawniej mówiło się o złodziejach, pijakach i obibokach; dziś to elementy patologii, na zwalczanie których wydatkuje się więcej energii, niż na konstruowanie lub produkowanie czegoś pożytecznego. Widok Temidy latającej z toporem w ręku ze bebą, która sprzedaje z rykiem dwie butelki piwa w bramie, byłby groteskowy - gdyby nie wiało smutkiem od tego strzępu dawnej świetności: ideologii, której nie wystarczało zrozumienie świata, ale która chciała go zmienić...

Wreszcie: pompierstwo i teatralizacja życia publicznego - znowu typowe dla prawicy. Werble i marsze, pochodnie i widowiska, stadiony norymberskie i łuki triumfalne - wszystko to powstawało z myślą, by władcom przydać glorii. Wielkie monumentalne dzieła Davida rodziły się nie kiedy był członkiem rewolucyjnego Konwentu, lecz kiedy stał się malarzem nadwornym Napoleona. Przedwojenna tromtedracja retoryczna w Polsce osiągnęła szczyty wtedy, kiedy zgąszone zostały wszystkie ogniska autentycznego życia politycznego. I teraz też, im mniej dzieje się efektywnie, tym więcej mówi się i przedstawia na scenie /oczywiście, przy odsłoniętej kurtynie.../. Skłonność do faty i świętowania, do mnożenia zbędnych bytów, do tworzenia fikcji, nawet nie służy już żadnym celom określonym, lecz stała się samonapędzającą się siłą. Tym tylko da się wytłumaczyć powołanie Komitetu Grunwaldzkiego /czy mamy w każdej gminie bić Krzyżaków?/, niezliczone sympozja i seminaria, kongresy i konferencje, z których absolutnie nic nie wynika. Brezylijskie opium dla ludu, czyli Izaura, jako jedyna więź władzy z masami - to jednak trochę za mało.

Jaka więc jest ta władza, prawicowa władza, powtarzam? Ano słaba, wewnętrznie skłócona, niekonsekwentna, upajająca się gadaniem i gestami i co gorsza - wierząca, że słowo staje się ciałem. Ale tak było tylko raz kiedyś i w dodatku był to cud.



W tych warunkach co ma i może czynić polska opozycja? Trzeba chyba powiedzieć jasno, że nie ma u nas jednolitej opozycji, choć wszyscy często szermują pojęciami "społeczeństwo domaga się" lub "neród żąda". Poza najbardziej ogólnymi celami: Polska niepodległa, zamożna, demokratyczna i wolnościowa - wszystko inne różni poszczególne grupy i ośrodki. Nie tylko zresztą strategia i programy, nawet te szozątkowe, które już są; także krytyka na co dzień. Nie można występować kategorycznie i zdecydowanie ze reformą gospodarczą i krytykować /szusznie!/ rząd, że jej nie reelizuje, a zarazem popierać k a ż d e żądanie podwyżek płac i świadczeń; nie należy rozciągać bojkotu p o l i - t y c z n y c h instytucji władzy /np. PRONu/, instytucji mających być tylko fasadą dla autorytaryzmu władzy - na dążenia różnych grup, a także ludzi dobrej woli, zmierzających do tego, by coś pozytywnego dla ludzi działać. Nie można w nieskończoność kontynuować dawnych błędów czystej negacji - datujących się jeszcze z okresu legalnej "Solidarności" w latach 1980-1981 - poprzez późniejsze popieranie

senkcji Reagana, bojkot wyborów do samorządów itd. itp. Nie można wreszcie zestępować myślenia politycznego, enalitycznego - obrzędami i gestami. Współzawodnictwo rządowego Theatrum ze sceną opozycyjną nie tworzy podniet dla rozwoju świadomości społeczeństwa. Wręcz przeciwnie: działa usypiająco.

Nie wystarczy bowiem odrzucić mitologię strony rządowej, którą w różnych wariantach karmieni jesteśmy od dziesięcioleci. Trzeba również zbadać, ile warte jest mitologia opozycji. Oto przegląd tych mitów z lat ostatnich: od "wiosna nasza" po "różańcami wypędzimy sowieckiego okupanta", od propozycji rokowań z Moakwą, by uznać w Polsce rząd bez komunistów do szukania natchnienia w powstaniach barykadach. A przecież wydawało się, że te wazytkie lekcje już braliśmy.

Czy naprawdę szczytem klarownego myślenia politycznego jest odgrzewanie dziś sporów między zwolennikami walki i pracy organicznej, powtarzanie argumentów jednych - że dzięki powstaniom zachowaliśmy niezależność narodową - i argumentów drugich, że Czesi i Finowie osiągnęli to samo bez hekatomb ofiar? Czy naprawdę stawka na Ronalda Reagana jako na wyzwoliciela Polski jest bardziej realistyczna niż stawka na Napoleona, jednego czy drugiego? Jak długo jeszcze achroniczne myślenie będzie jednym z spoiwem intelektualnym władzy i opozycji? Przegraliśmy - mniejże tu o przyczyny - XIX wiek. Podczas gdy inni budowali podstawy dzisiejszej świetności, myśmy walczyli o niepodległość. Czy mamy do końca przegrać również wiek XX i wejść w XXI z pozycji alumsu Europy? Czy naprawdę, podczas gdy młodzi w innych krajach pesjonują się latami od 2000 w górę, my nadal roztrząsać będziemy szanse Powstania Listopedowego czy też analizować niedawne - ale przecież już minione - epopee ostatnich dziesięcioleci? Nastolatek w Anglii gra o jutro na osobistym komputerze; jego rówieśnik w Polsce ma do dyspozycji bohaterską legendę kapitana Klussa /to od strony rządu/ lub opowieść o bohaterskiej śmierci ks. Ignacego Skorupki /to od strony opozycji/. Na polach bowiem między Odrą a Bugiem ścięra się prądzowy Duch Grunwaldu z antyrządowym Duchem Cudu nad Wisłą. Intelektualny ładunek tej burzy mózgow jest niemal taki sam, jak dialogu Albina Siwaka z księdzem Małkowskim...

Musi więc opozycja, jeżeli nie ma stać się reliktem muzealnym, samookreślić się i podzielić na tych, którzy są "przeciwni czerwonym" i to im wystarczy za program i na tych, którzy chcieliby coś w tym kraju wywalczyć; na tych, którym do zdrowia psychicznego wystarczy kilka gromkich okrzyków i na tych, którzy przynajmniej szukają jakiejś drogi. Jeżeli zważyć, że pod jednym dachem znajdują się znakomity, budzący zaufanie i dobrze udokumentowany "Raport: Polska 5 lat po Sierpniu" i bełkotliwe niekiedy pohukiwania pełne wykrzykników, to widać wyraźnie, jak niewiele znaczy dziś pojęcie "opozycja". Ale, jak mówił Lincoln: dom wewnętrznie podzielony nie może się ostać. Nie mogą więc tworzyć wspólnoty zwolennicy hasła "im gorzej tym lepiej", którzy każde niepowodzenie reżimu witają jako własny sukces - z tymi, których wcale nie cieszy postępujące degradacja gospodarcza, ekologiczna, intelektualna, a także moralna kraju.

Opozycja przeciwko tej prawicowej władzy musi być lewicowa. Musi występować o więcej wolności, o więcej demokracji, o mniej represyjności. Musi walczyć o poszerzenie każdego przyczółka samorządności i swobody słowa, o pełną praworządność w każdej dziedzinie życia - od przemysłowego, nie wymagającego nowelizacji co kilka miesięcy ustawodawstwa aż po status więźniów politycznych. Opozycja musi opierać się na szerokim społecznym poparciu i reprezentować interesy mas wobec ufortyfikowanego w okopach św. Trójcy biurokratycznego establishmentu. Cóż bowiem miałyby do zaoferowania opozycja "z prawa"? Więcej nacjonalizmu? Zamordyzmu? Reprywatyzację Huty Katowice? To nawet nie śmieszne...

Ostatecznie, jeśli się chce kiedyś Polski niepodległej i demokratycznej, zasobnej i wolnościowej - to musi ta Polaka przede wszystkim nie być pariasem Europy. Kto tego nie rozumie, ten nie widzi groźby wiszącej nad nami: chodzi nie tylko o tekie zniszczenie substancji materialnej i moralnej, że tego odbudować się nie da, ale także o powtórzenie w wariacie XX wieku XVIII-wiecznej wersji rozbiorów. Oczywiście, nikt dziś Polski nie będzie parcelował - nie te czasy i nie te metody. Ale może powstać consensus sąsiadów, przy milczącej choć nie pozbowionej gromkich protestów aprobacie Zechodu - aby otoczyć kordonem Polskę, jako kraj nie do naprawienia, nie do rządu, nie do uratowania. I staniami się wtedy przedmurzem Albanii.

Przesadne to, rzecz jasna, i głośne. Ale zapowiedziałem w tytule rozsierzenie, więc proszę o wybaczenie.



Opozycja w konstytucyjnie rządonym demokratycznym państwie jest siłą alternatywną, proponującą inny model rządzenia, program, wizję. Jest to siła gotowa - w razie czego - do przejęcia steru rządów. Opozycji w Polsce w przewidywalnej przyszłości to nie grozi. Ale nie znaczy to, by miała dać się wepchnąć Urbanom i wiceurbanom w ślepa uliczkę wrogości, negacji i nienawiści. Ideą opozycji jest wspólna odpowiedzialność za losy społeczeństwa i państwa, nie zaś nieodpowiedzialność. Najgorsze bowiem, co może spotkać opozycję jutro ze strony dzisiejszych dzieci - to zarzut, że w końcowych latach naszego stulecia rząd załatwiał swoje interesy, opozycja - swoje, a kraj tonął. I dojdzie do tego gorzki dowcip, że jedni chcieli budować drugą Polskę, inni - drugą Japonię, a razem zbudowali Trzeci Świat...

Co więc dalej? Wydaje się, że jedyną rozsądną drogą dla tych, którzy przeciwni są hasłu: im gorzej tym lepiej - jest wchodzić w każdą szczylinę, w każdą lukę, gdzie można pchnąć naprzód sprawy dotyczące jeżeli nie ogółu, to przynajmniej większości społeczeństwa. Konkretnie oznacza to, że należy każdą trybunę i każdą sposobność wykorzystać do walki o określone, w danej sytuacji możliwe do spełnienia, postulaty.

Takich trybun i takich sposobności jest, wbrew pozorom, nie mało. Częściowo są to organizacje już od dawna istniejące, choć dotychczas mało wykorzystane. Częściowo zaś są to liczne w ostatnich latach utworzone instytucje i organizacje. Ta władza bowiem, by stworzyć pozory demokracji, powołała do życia, bądź też posługuje się już istniejącymi różnymi instytucjami: stowarzyszeniami, różnego typu samorządami, ankietami, konsultacjami, radami etc. Poza tym - i z powodu słabości i z powodu tego, że część przynajmniej establishmentu chce zachować pewne zdobycze z lat 1980-1981 - mamy obecnie w niektórych dziedzinach większą swobodę słowa i druku niż kiedykolwiek, z wyjątkiem okresu Października 1956 roku. To razem stenowi już pewną ramę.

Moim zdaniem, z szans tych trzeba jak najszerszej korzystać. Kiedyś, kiedy ns nowo uruchamiano samorządy, przeważała teza o ich bojkocie, co dało znane efekty, bo gdy się z tego wycofano - było już za późno. Dziś należy całkiem inaczej. Przykład dało tu Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, na którego zjeździe w przekonujący sposób obnażone zostały niedostatki i słabości szczątkowej reformy gospodarczej i wysunięte postulaty jej aktywizacji. Nic to, że władza te głosy ignoruje. Jeżeli będzie ich więcej, jeżeli będą rozlegały się zarówno z łamów prasy /również tej oficjalnej/ jak i z trybun zebrań, jeżeli przekształca się to w potężne lobby, to może coś z tego wyjdzie. Nie ma przecież żadnego powodu, aby jedyną grupą nacisku w naszym kraju miała być grupa wicepremiera Szałajdy i jego "stalożerców".

Tylko, żeby było jasno: walczy się wtedy nie o obalenie rządów ko-

munistycznych, lecz o zmużenie ich naciskiem z wszystkich stron do realizowania własnego programu.

To semo dotyczy szeroko pojętej sfery samorządności i praworządności. Chodzi o wykorzystanie wszystkich istniejących instrumentów - Naczelnego Sądu Administracyjnego, Trybunał w Stanu i Konstytucyjnego, wszelkiego rodzaju rad, wszelkiego rodzaju imprez legalnych, które organizowane są być może z myślą o theatrum, a wykorzystane być mogą jako front walki dla dobra powszechnego. Należy do tej dziedziny także projekt powołenia w Polsce Strażnika Prew Obywatelskich /coś w rodzaju skandynawskiego "ombudsmana"/, który broniłby obywatela przed nadużyciami ze strony władzy. Jeżeliby nawet rządząca ekipa obszesała to stanowisko najbardziej lojalnym wobec siebie człowiekiem - to i tak było by u kogo upominać się o bezprawnie więzionych, niesłusznie skazanych i prześladowanych.

Dość przykładów. Kto chce, znajdzie ich zapewne bardzo wiele. Chodzi bowiem o zaakceptowanie generalnej filozofii walki opozycyjnej, a nie o ten czy inny przykład. Chodzi o to, czy opozycja ma być krzykliwą, ale za to jałową i bezsilną, a zarazem bezkształtną bryłą, czy też nacelowaną i zorganizowaną działalnością, zmierzającą bądź do przeciwstawienia władzy własnych alternatywnych idei, bądź do nacisku na władzę, by realizowała swój oficjalny program.

Mało to wszystko? Zapewne. I brzmi znacznie bardziej przyziemnie, znacznie gorzej, niż gromkie postulaty Niepodległej, Wielkiej, Bogatej, a nawet Mocarstwowej. W dodatku do tamtej wersji wystarczy pokrzywić, a w tej trzeba mozolnych, długotrwałych, cierpliwych i upartych działań, częstokroć nie dających bardzo długo /a nawet wcale/ efektów. Ale - czy ktoś ma inne konkretne propozycje? Kurtyna jest podniesiona. Prosimy na scenę.

POLAK NOWOSWIECKI

Przypominamy, że nie wszystkie opinie wyrażone w artykułach są opiniami redakcji.

JESZCZE O STANIE WOJENNYM

Sensacją tygodnia stała się publikacja wywiadu rzecznika prasowego rządu PRL Jerzego Urbana w amerykańskim dzienniku "Washington Post". Wywiad ów, nie publikowany zresztą przez krajową prasę oficjalną, dotyczy okoliczności wprowadzenia stanu wojennego w Polsce, a ściślej - rozeznania tych okoliczności przez przywódców politycznych Stanów Zjednoczonych. Rewelacja rzecznika trzeba nadać właściwe wymiary. O ucieczce z Polski wyższego oficera sztabu generalnego donosiła prasa amerykańska już w roku 1982, ogłaszając zarazem materiały na temat przygotowań do operacji wprowadzenia stanu wojennego, podjętych kilka miesięcy przed pamiętną datą 13 grudnia. Atrakcyjne w całym wystąpieniu Urbana jest tylko potwierdzenie faktu, iż ekipa Jaruzelskiego omawiała szczegółowy scenariusz wojny z "Solidarnością" co najmniej miesiąc przed jej rozpoczęciem. Zdezawuowana tym samym zostaje jedna z tez propagandy, iżby stan wojenny ogłoszony został jako poaunięcie doraźne pod naciskiem ofensywnych zamierzeń ekstermistycznych przywódców "Solidarności".

Zażółmy w tym miejscu, że Urban mówi prawdę twierdząc, iż administracja USA już 8 listopada znalazła projekty rozwiązania sytuacji w Polsce drogą akcji militarnej. Zastenówmy się - co w tej sytuacji mogła uczynić. Wystąpienie publiczne na arenie międzynarodowej, dokonane na podatewie rewelekcji nieujawnionego agenta wywiadu byłoby grą sprzeczną z wszystkimi regułami sztuki dyplomatycznej. Zarazem stanowiloby dla władz PRL wygodny pretekst do oskarżenia rządu Stanów Zjednoczonych o uprawianie prowokacji politycznej, nakłanianie przywódców związkowych do działań przygotowujących konflikt siłowy, zatem o ingerencję w wewnętrzne sprawy PRL w kierunku poparcia i stymulowania dążeń do obalenia ustroju. Taka akcja dyplomatyczna mogła osiągnąć skutek odwrotny od zamierzonego, przyspieszając datę ogłoszenia stanu wojennego.

Departament Stanu mógł wszak ostrzec przywódców "Solidarności" o planowanym stanie wojennym drogą nieoficjalną. Nie ma podstaw, by sądzić, iż to uczynił. Rzecz jednak jest w iatocie bez znaczenia. Urban może cynicznie sugerować, że znajomość planów wprowadzenia stanu wojennego przez władze Związku mogła uniemożliwić realizację tych zamierzeń. Gdyby to była prawda...

Niestety, sprawy między się zupełnie inaczej. Powiedzmy otwarcie - nie tylko kierownictwo "Solidarności", lecz nawet postronni obserwatorzy sceny politycznej w Polsce zdawali sobie dość dokładnie sprawę z nieuchronnego finału czekającego polską rewolucję. Tylko ślepy i głuchy nie rzeczywistość społeczną nie potrafiłby akorzarzyć takiego zespołu faktów, w którym mieści się i strategia rządu zmierzającego do obstrukcji czy bojkotowania wszelkich negocjacji, i bezprzykładnie egresywmy ton etaków reżimowych publikatorów /głównie telewizji/ na "Solidarność", i gwałtowanie pogorszenie zaopetrzenia społeczeństwa w żywność oraz ogołocenie aklepow połączone z konsekwentnym kreowaniem nastrojów niepewności, głodu, strachu, i wytoczenie dochodzeń prokuratorских kilkudziesięciu działaczom oraz redaktorom pism związkowych, i seria niewyjaśnionych prowokacji - pobicia różnych aktywistów związkowych, trujący gaz pod kopalnią w Sosnowcu, i wreszcie przedłużenie służby wojskowej dla rocznika poborowych z roku 1980 oraz powołanie terenowych grup operacyjnych, co oznaczało przejmowanie przez armię struktur administracji otywilnej w kraju. Jeśli tego nie dość, warto przypomnieć końcowe przemówienie Jaruzelskiego na VI Plenum /listopad 1981/: "obecnego stanu utrzymać dłużej nie można, proces rozkładowy musi być zatrzymany - inaczej nieuchronnie doprowadzi do konfrontacji, do stanu typu wojennego".

Złudzeń nie było. Dlaczego zatem - pytanie to powraca uparcie w "nocnych rodaków rozmowach" - nic nie zrobiono, by przygotować się do nadciągającej konfrontacji? Odwróćmy problem - co właściwie można było zrobić?

Właściwie nic. I to jest następna brutalna prawda, kłóca się z nieprzebrnym bageżem mitów i pobożnych życzeń, iżbyśmy w konfrontacji "polsko-jaruzelskiej" mieli rzeczywiście jakieś szanse.

Na pierwszym miejscu w tym katalogu marzeń stawiano zawsze strajk generalny. Na ile bezskuteczna jest owa broń, przekonac się mogliśmy już w marcu, po prowokacji bydgoskiej, pominawszy nawet anelizę metod złamania atrajków generalnych na Węgrzech w roku 1956 i w Czechosłowacji w roku 1968, po interwencji wojsk sowieckich w tych państwach. Strajk generalny oznacza całościową dezorganizację i w znacznym stopniu likwidację struktur ogólnospołecznego ładu organizacyjnego. Praktycznie - przestaje funkcjonować pieniądz i rynek towarowy, transport, infrastruktura aglomeracji miejskich; próżno kontynuować te wyliczenia. Jak dowodzą dotychczasowe doświadczenia historyczne, strajk albo zełamuje się po upływie niezbyt długiego czasu, albo przenosi na ulice miast, gdzie dochodzi do starć z siłami porządkowymi. Tak chyba pomyślany był konflikt bydgoski, faktycznie otwarty w dniu

rozpoczęcia menewrów "Sojuz 81" /na terenie PRL zgromadzono około pół miliona żołnierzy armii państw "zaprzyjaźnionych"/. Zerwanie wówczas negocjacji toczących się w Warszawie i ogłoszenie bezterminowego strajku generalnego pozwoliłoby przedłużyć żywot polskiej rewolucji o jakieś dziesięć dni. Piszę to jako jeden z tych, którzy uważali w tamtej chwili porozumienie warszawskie za kompromis obłożony zbytними ustępstwami Związku i niewykorzystaną szansę mobilizacji społeczeństwa.

13 grudnia 1981 strajk generalny w Polsce faktycznie się rozpoczął. Stanęło około 70% zakładów. Nikt nie był w stanie udzielić sensownej odpowiedzi na pytanie, jak reagować w przypadku szturm kolumny czołgów na bramy fabryki, rozpylenie ogromnych ilości gazów łzawiących w budynkach, wykorzystanie broni palnej w przypadku oporu ludzi, stających z gołymi rękami naprzeciw zorganizowanych formacji wojskowych. Pomysł przygotowania w fabrycznej aiedziobie "Solidarności" dwudziestu rurek żelaznych celem obalenia ustroju godzien jest tylko telewizyjnej propagandy. W istocie, gdyby przywódcy związkowi wezwali do obrony czynnej zakładów, przyjęliby odpowiedzialność moralną ze setki ofiar śmiertelnych, poległych w nierównej, tragicznej wprost walce. Nie chcę, broń Boże, dyskutować heroicznej śmierci górników z "Wujka", czym innym jest jednak samodzielnie podjęta decyzja obrony kopalni, czym innym zaś wezwanie do takiego oporu bezbrojnej ludności - przy pełnej świadomości ostatecznych rezultatów walki.

Pisze się czasem, iż nie można było zwyciężyć w grudniu 81, byliśmy jednak w stanie lepiej przygotować się do dalszego długofalowego oporu. Należało powołać drugi, konspiracyjny garnitur przywódców Związku, ukryć część maszyn, podjąć pieniądze z kont bankowych. W zasadzie pomysły te, rozważane na papierze, są bezspornie słuszne, aliści ignorują w jakimś stopniu dynamikę procesów społecznych, toczących się wówczas z niebywałym przyspieszeniem. Koncepcję "drugiego garnituru" zweryfikuje każdy działacz "Solidarności" pamiętający ówczesne, jakże powszechne w gremiach kierowniczych na wszystkich szczeblach, obawy przed "manipulacją", postulaty rozszerzenia wewnątrzwiązkowej demokracji i jawności obrad. Przecież "drugi garnitur" można było powołać li tylko na drodze mianowania nowych przywódców w bardzo wąskim zespole decydentów. Jestem przekonany, że na takie rozwiązanie nie zgodziłby się nikt, choć podczas Zjazdu "Solidarności" odmówił swego głosu Wałęsie, obawiając się jego "eukratycznych" zapędów /przywódca Stoczni Gdańskiej zabrał głosy zaledwie 55% delegatów/. Nie zapominajmy, że nasz Związek wyrastał na gruncie głębokiej krytyki biurokratyzmu struktur CRZZ, opartych na modelu centralizmu demokratycznego. Szereg rozwiązań statutowych przyjęła "Solidarność" celem uniknięcia wynaturzeń tamtej pseudoreprezentacji. Możliwości prowadzenia polityki "tajnej dyplomacji" czy delegowania jakichkolwiek spraw do kompetencji ścisłych gremiów kierowniczych były w Związku niezwykle ograniczone.

Ukrycie maszyn i sprzętu poligraficznego wiązać się musiało z jego eliminacją z bieżącej działalności związkowej. Wbrew pozorom sprzętu tego nie było wówczas za dużo - niejednokrotnie ledwie go starczało na zaspokojenie doraźnych, stale rosnących potrzeb. Można było, i chyba należało wycofać fundusze Związku z banków PRL /co uczyniono we Wrocławiu/, podejrzewam jednak, iż akcja ta, zrealizowana w akali masowej, zmusiłaby komunistów do przyjęcia jakichś środków zaradczych /choćby w postaci wymiany pieniądza po 13 grudnia/.

Zatem od początku byliśmy bez szans? Chyba tak. Najbardziej nawet masowy i sprawnie zorganizowany ruch społeczeństwa obywatelskiego będzie zmuszony do kapitulacji wobec negłej argumentacji kulomiotów i kejdanków. Nic na to nie poradzimy. Nieukrywana satysfakcja Urbena, iż misterne plany Kiszczaka oraz sztabowców z wojska, zwanego nie wiedzieć czemu "polskim" i "ludowym", pozwoliły zarzącać robotniczy

ruch "Solidarności", znajduje w tej dramatycznej konstatacji szczególnie potwierdzenie.

Nie do końca jednak. "Solidarność" to nie tylko budynki Zarządów z kartotekami zakładów, w których zarejestrowano koła członkowskie, nie tylko maszyny offsetowe i sklepiki z prasą, niekończące się obrady, wizyty, delegacje, ogrom prac administracyjnych i porządkujących. To również, to przede wszystkim nowa świadomość społeczna, oparta na niezafalazowanej wiedzy historycznej i politycznej. To nowa postawa obywatelska, realizująca się w zachowaniach wyrażających godność pracy, międzyludzkie braterstwo, potrzebę rewindykacji praw publicznych, gotowość głośnego nazywania zbrodni zbrodnią i totalizmu bezprawiem. Tej postawy nie złamie demagog, podsuwający nam kolejny paranoiczny trick propagandowy - o współodpowiedzialności prezydenta Reagana za wprowadzenie w Polsce stanu wojennego.

LESŁAW MALESZKA

EWA NAWOJ

* * *

Pierwszy spacer odkąd wstałam z łóżka
ciepła wiosna w brudnym akcyjowym
lasku na Kole
na torach w lesie
stoi zardzewiała lokomotywa...
Nagle niespodziewana dziura w płocie
płaski teren zielonej trawy
kiedy widzę wartownika z bronią
boję się że po tamtej stronie
mogą nie tylko legitymować
ale i strzelać bez uprzedzenia
Wartownik daje się jednak wyminąć
chwilę później rozumiem
to stadion hippiczny
w stajni uśmiechnięci żołnierze
w biało-czerwonych opaskach
dzieci wróble i psy
Koń który jest championem
wyciąga mi z kieszeni chustkę do nosa
żołnierz śmieje się mówiąc
pieszczoch szuka cukru
Najpiękniejszy koń
o długiej żyrafiej szyi
i migdałowych oczach
ma na imię Samogon
myślę wracając do domu
kupię na kartki cukier w kostkach

* * *

Dwie pilne dziewczynki
pchają wózki
ze swymi plastikowymi córeczkami
Duża mama pcha wózek
z młodszym braciszkiem
Jutro przyjdzie baba
i przyniesie trochę mięsa
z małego cielaka
takiego jak ten o delikatnych uszach
którego zobaczyłaś
rozpiętego pod sufitem w rzeźni dziadka
Za mamusię, za tatusia
za babcie i dziadka
jedz, bo nie urośniesz duża
Potem pilne dziewczynki
nakarmią swoje plastikowe córeczki

1984

Z przewiazanymi oczami

Idziesz pustą ulicą
po ostatnim seansie
zatrzymana ciężkim dotykiem
czyjejs ręki
odwracasz się ze strachem
Idziesz pustą ulicą

nigdy nie pewna
czy w notesie masz
tylko właściwe
telefony i adresy
jesteś przecież
uwięziona jedynie
w celi własnego serca
czyjaś żona
czyjaś kochanka
z jedną nogą na stopniu
odjeżdżającego pociągu

1980

EWA NAWOJ

RULETKA LEVI-STRAUSSA

Osiemnastowieczny dystans do siebie, ów orzeźwiający chłodek przywrócił etyce bez pociechy i nagrody, co dowodzi, że zdobyto się na przewrót duchowy przypuszczalnie większy niż za Odrodzenia. /Renesans, o czym się nie pamięta, był złotym okresem melancholii/. Jeszcze na początku XVIII wieku lord Bolingbroke rozwinął pogląd, że kraje leżące na wschód od Niemiec znajdują się poza systemem europejskim i że to, co się w nich dzieje, jest dla tego systemu obojętne. Od tej pory nikt nie może dorównać Polakom w bzik doganiania Europy. Dlatego tak łatwo zgubić się w grupie hodowców i atryżników dawnego i głęboko zakorzonego kompleksu niższości. Gdy słyszę, że "Warszawa jest Paryżem Wschodu", mam ochotę wyskoczyć przez okno. Polacy przestali być cywilizatorami Wschodu i do dziś nie znaleźli sobie nowej roli. Claude Levi-Strauss porównuje cywilizację do ruletki, w którą grają różne społeczeństwa, z różnymi skutkami. Życie coraz bardziej przypomina powieści Kafki z niewolnikiem w tle, który zawsze mówi: "tak", choć los nigdy nie odpoczywa. Strach paraliżuje. Po śmierci Stalina przez długi czas lekarze nie mieli odwagi dotknąć jego zwłok, takie wzbudzał przerażenie nawet po śmierci. W chwili dojrzałej do katastrofy polskość grzęźnie w gęstwinie frazesów, zbyt nieposłuszna dogmatom. Ludwig Wittgenstein w "Tractatus logico-philosophicus" napisał: "Die Grenzen meiner Sprache bedeuten die Grenzen meiner Welt" i wkrótce ukuł termin Sprachspiel, gdy językowej; stąd nieograniczona władza słów nad rzeczywistością. Lecz aby trafnie osądzić wydarzenie hiatoryczne wystarczy opisać buty maszerującego wojska, lub jakiś przyziemny szczegół. W roku 1970 zaczęło się od ceny kiełbasy zwyczajnej a skończyło grobami.

Cheyne i Stockes, irlandzcy lekarze odkryli w dziewiętnastym wieku rodzaj utrudnionego oddychania. Oddychanie Cheyne-Stokesa oznacza symptom zbliżający się śmierci. W życiu każdego społeczeństwa można również zidentyfikować podobne objawy. W dziejach Polski ogromne znaczenie mają sekwencje poświęcenia i zdrady. Pewien rodzimy tchórz, który zapomniał o godności, jak o parasolu, pytał czy srebrniki były walutą wymiennalną. Na każdym kroku można odnaleźć tragiczną teatralność, to karłowate polakie drzewko szczepione patosem, obok którego przechadza się nadwiślański Wierchowieniśki. Uczepiony maniakalnej idei, cierpliwie znosi ekscesy hiatorii najnowszej, a potem wpada w ogólny smutny nastrój vegetacji. Wcześniej utracił zmysł ceremonii i liturgii. Nader często ogarnia go lęk przed zwyczajnością, która się nie udaje. Odświętność jeszcze wychodzi, bo wówczas można zadać w dumę. Próba zwalczania idei ze pomocą zbrodni nie pojawiła się wczoraj. Może wygląda to na herezję, lecz jestem skłonny sądzić, że jedynie składnik anachroniczny w psychice polskiej nie pozwala nam ulegać zbrodni, bo współczesne ludobójstwo wymaga dobrej organizacji. Polacy do wynajęcia, czyli odświętni patrioci, wożą ze sobą po świecie niedorzeczne pamiątki, zdając sobie sprawę, że ekshumacja zbiorowej mitologii odbywa się przy wzniesionych hasłach. Zarówno hamletyzujący oprawca jak i błazen stroją się w te same barwy, po czym następuje poślizg w patos, który komplikuje sytuację, prawie jak zdechły wróbel u Gombrowicza. "Pióropusz rzecz piękna - powiada pisarz - ale przypomina kiteń nad czołem cyrkowego kucca". Patetyczny kostium częstokroć osłania postać nikczemną. Chesteron twierdził, że "ciasna jednostronna powaga jest wadą wszystkich barbarzyńców na kuli ziemskiej". Spojrzenie w głąb polskiej rzeczywistości może przerazić, ponieważ nie zawsze naród słaby i uciśniony zasługuje

na współczucie. Publiczność szukając pretekstu, by podreperować swoje samopoczucie, potrząsanie amarantami poprzedziła górą sloganów. Część Polaków nienawidziła Miłozsa za to, że tak jasno sformułował ich zniewolenie. Victoria Ocampo twierdziła, że człowiek dwudziestego wieku stworzył sobie własne więzienie wrzasku. W ten sposób społeczeństwo w przeważającej awojej masie głupie, sprzedajne i tchórzliwe kryje się pod patriotycznymi frazesami.

W "Kwiatach polskich" Tuwim, którego w Ameryce nachodziły polskie widma, proroczo rymuje słowo "wariat" ze słowem "lumpenproletariat", a przecież jest to poemat utrzymany w tonie egzaltowanej tęsknoty. Literatura polska pozostaje w istocie dramatyczną kroniką stanu obłędzenia. Filozof francuski Jean Baudrillard twierdzi, że dla intelektualistów europejskich kultura stała się "niewyczerpanym magazynem nostalgicznych odwołań do przeszłości". Dzisiaj obok biedy materialnej panoszy się w Polsce równie dotkliwa nędza ducha i intelektu, rozciągnięta na całe lata ugorowanie. Repatriacja milionów ludzi, ściślej wysiedlenie, spowodowało zaburzenia w życiu emocjonalnym. Awans materialny i społeczny nie wiąże się niestety z kulturalnym, dlatego w życiu publicznym przeważa atmosfera dintojry i meliny, spelunki i karczmy, mordowni i wychodka. Mając wykształcenie wyższe lub średnie setki tysięcy Polaków nie posiadają żadnych tradycji umysłowych. Ich kultura jest znikoma. Z tej kategorii społecznej rekrutują się dziś w Polsce liczni neandertalczykcy, których niedościgniony wzór ukazał kiedy Arthur Koestler w osobie Gletkina. Obraz społeczeństwa wyciągniętego z dołów, z wyobraźnią uzależnioną przez państwo przypomina raport Kanclerza z III aktu "Słubu" Witolda Gombrowicza: "Panuje spokój. Wszystkie elementy buntownicze - zaaresztowano. Parlament także został zaaresztowany. Poza tym sfery wojskowe i cywilne także obłożone zostały bezwzględny aresztem, a szerokie koła ludności też siedzą. Sąd Najwyższy, Sztab Generalny, Dyrekcje i Departamenty, władze publiczne i prywatne, prasa, szpitale, ochronki, wszystko siedzi. Zaaresztowano też wszystkie Ministeria, a także wszystko i w ogóle wszystko. Policja też została zaaresztowana. Spokój. Spokojnie. Wilgoć."

Gwałtowne zanikanie Polaka typu esencjonalnego, a nawet więcej: rezygnacja z potrzeby inteligencji rodzi proletariat intelektualny. Za to pojawiły się zastępy producentów symboli, które wprawiają ludzi w wagnerowską ekstazę. Ich przekleństwem pozostaje retoryka poniechanej wiary. Umysłowość polska nastawiona bardziej na oddawanie czci zastanemu niż na kwestionowanie, stworzyła galerię ludzi małych, pospolitych, zupełnie bez wartości. Popis rozpaczliwego przeciętniactwa, akrobatyczny oportunizm i bezgraniczna pycha uzupełniają się nawzajem. Prace humanistów powojennego chowu przypominają zbiory wypracowań na poziomie maturzysty z prowincjonalnego gimnazjum i są w istocie przegładem polskich niedociągnięć intelektualnych. Jak na "Księgi Narodu i Pielgrzymstwa" są to zwykle książki stanowczo za długie i za płytkie. Myślenie ich autorów wskazuje manowce upadku, ale brak domaga się kompensacji, atąd sentymentalne uwielbienie ludowej mądrości. Za nim nadciąga bez żenady wielka apokalipsa głupoty i złego smaku, a przecież styl to soczewka, przed którą epoka pozuje do zbiorowej fotografii. Np. barok narodził się w czasach klęsk: zawieruchy wojennej, niepewności dnia i godziny, gdy nastąpiło zachwianie umysłowe i do głosu doszły niezdrówne związki zbytku i nędzy a wszechobecność śmierci wyzwała dla równowagi nieopohamowaną żądę życia.

Zanim na grobach bohaterów pozytywnych wyrosła mowa-trawa, kulturę polską zaczęto sprowadzać do góralskiej tandety Zakopanego i fruujących kiecek Mazowsza. Cały kraj zamienił się w skupiska szarych betonowych domów, z tysiącami kanciastych oczodołów. Płaskodacha architektura wyraża w sposób dosłowny powazeczne spłaszczenie ducha. Nowe domy wyglądają jak stare w miesiąc po zbudowaniu. Szare płaszcze suną po wilgotnych chodnikach i znikają we wczesnym zmierzchu. Kraj po wojnie

przestał rosnąć. Ciągłe budują, ale stale wydaje się niezbudowane. Polska czekająca w kolejkach, zredukowana do istoty i wyglądu tłumu, zapełnia dziś ulice bez żadnego wyrazu czy charakteru. A tymczasem od kompromisów do kompromitacji coraz bliżej. Pewien profesor polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego miał w latach siedemdziesiątych wykłady dla cenzorów na temat właściwego odczytywania metafor w poezji. W twarży tego nihilisty wschodnioeuropejskiego chowu było coś szczerzego, jakby wyszedł prosto z azalowego snu. Tragedia drugiej wojny światowej polegała na tym, że bez udziału jednego totalizmu nie udało się pobić drugiego. Z polityków europejskich jedynie marszałek Piłsudski zdawał sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa i wojna rewolucyjna, którą proponował Zachodowi miała doprowadzić do zwyciężenia Hitlera bez pomocy Stalina. Polskie millenium zemknęło się więc saldem ujemnym, ponieważ nawet w pełnym nadziei roku 1956 zabrakło koncepcji czym zastąpić stalinizm; pozostał system, który niszczy, kiedy jeszcze nie jest gotów do tworzenia. Tak, tak. Wszystko się ostatecznie pomieszało. W polskich restauracjach na East Village w Nowym Jorku podają ruskie pierogi, a w ukraińskich żurek z kiełbasą krakowską. Tylko tyle zostało z naszej jagiellońskiej łagodności.

XXX

Komu potrzebny jest zamordyzm międzynarodowy

Rozważając układ sił we współczesnym świecie z punktu widzenia przeciętnego Polaka widzimy obraz następujący: my jesteśmy w Europie, chociaż, niestety, pod azjatycką okupacją; razem z nami w jarzmie cierpi jeszcze parę innych europejskich narodów. Natomiast po drugiej stronie jest wolny świat - to głównie ta bardziej szczęśliwa część Europy, Stany Zjednoczone, jeszcze może Australia i Kanada. Oczywiście, są jeszcze inne kraje, narody i kontynenty całe, niemniej ich rola sprowadza się do podpisania się - inna już rzecz, czy dobrowolnie - pod jedną z opcji, które wymieniliśmy na początku - znowu lepiej nie poruszajmy kwestii wolnej woli przy ich określaniu. Nasz punkt widzenia jest europocentryczny, nie wstydzimy się tego, może nawet jesteśmy trochę dumni, że możemy to o sobie powiedzieć.

Jak na ten sam świat patrzy człowiek z drugiej strony tej mistycznej granicy wolności? Najczęściej z jego punktu widzenia istnienie jednej Europy wcale nie jest tak bardzo oczywiste. Europy bywają Wschodnia /mimo, że geograficznie środkowa lub południowa/ i Zachodnia; komunistyczna i demokratyczna a nawet - nie zmyślam - Wschodnia i "właściwa" lub "zasadnicza" /proper/. Jest jeszcze reszta świata. I to znacznie bardziej zróżnicowana, niż z naszej perapektywy. Są kraje rozwinięte gospodarczo, bogate, demokratyczne i niedemokratyczne - jak np. Japonia albo Arabia Saudyjska; są te nowo uprzemysłowione - jak Korea Południowa, Singapur, Indie; reżimy komunistyczne, dyktatury autorytarne i takie kraje, które rozwijają się nie tylko ekonomicznie ale i politycznie. Szufładkować można różnie - wg zamowności, ustroju, czy wreszcie regionu kuli ziemskiej. Można też w ogóle nie segregować i nie uogólniać, i wtedy łatwo przyjść do wniosku, że po prostu coraz więcej krajów zaczęło się w świecie liczyć i to indywidualnie, a nie wyłącznie grupowo; a jeżeli łączą się one w grupy, to niekoniecznie wg tych samych kryteriów, o których wspomnieliśmy na początku. Łatotnie, taka refleksja nasunęła się też specjalistom od

stosunków międzynarodowych a z niej wypłynął następny wniosek, a mianowicie, że świat nie jest już dwubiegunowy ale wielobiegunowy i że w tym właśnie kierunku iść będzie dalszy jego rozwój. Wspomina się także o tendencjach do rozwijania regionalnej współpracy, tworzenia ugrupowań na bazie wspólnoty położenia geograficznego, a niekoniecznie tylko ideologii. Razem z tym mówi się oczywiście o malejącym wpływie supermocarstw, o zmniejszeniu napięcia konfrontacji między nimi, jeżeli już nie z racji układów między samymi lub zbliżania się na płaszczyźnie podobnych schematów rozwoju gospodarczego, to po prostu z racji odchodzenia w przeszłość - co prawda bardzo powoli - samego problemu.

Na pewno istnieje wiele przesłanek do takiego widzenia współczesnej areny stosunków międzynarodowych. Rzeczywiście, wiele krajów, o których nikt nie słyszał jeszcze 20 lat temu, wyszło z cienia i zaczęło odgrywać niemałą rolę w globalnej polityce światowej. Dzieje się tak albo za sprawą ich ogromnego znaczenia dla współczesnej gospodarki całego praktycznie świata - jak w przypadku krajów wydobywających i eksportujących ropę naftową; albo z powodu niepowściągniętego skoku technicznego i imponującego tempa rozwoju gospodarczego - tu przywołać można przykłady tzw. krajów nowoprzemysłowionych, jak Singapur, Korea Południowa czy Taiwan. Przyczyną mogą być także szczególnie ważne wydarzenia polityczne - jak rewolucja w Iranie, obalenie rządów białych w dawnej Rodezji, dziś Zimbabwe albo też przypadek Libii z pułkownikiem Kaddafim jako zjawiskiem samym w sobie. Są jeszcze rejonu napięć - jak Bliski Wschód czy Ameryka Środkowa - ale te zawsze były, są i będą; zawsze też będą mieć szczególnie miejsce w światowej polityce. Można też wymienić przypadki godnej uwagi i podziwu współpracy i jednolitego frontu naprzeciw Wschodu i Zachodu jednocześnie - opartych o podobną pozycję gospodarczą - jak "Grupa 77" krajów rozwijających się, czy też o wspólnotę kulturową - tu kraje arabskie, które zgodnie, włącznie z tymi najbardziej proamerykańskimi, zadeklarowały poparcie dla Libii w czasie ostatnich wydarzeń w zatoce Syrta.

Można teraz zadać pytanie, czy w istocie cała ta wielość manifestujących się nowych spraw, postaw, problemów i kultur nie przesłoni wreszcie tego zasadniczego - od 1945 roku - podziału na formy totalitarne i demokratyczne; wraz z głównymi reprezentantami obu - USA i ZSRR. Pomińmy sprawę ustroju politycznego, która musi być rozstrzygnięta w zasadzie - mówiąc najogólniej i biorąc pod uwagę współczesne realia - według tego schematu. Pomińmy, bowiem wpływ kulturowy może uczynić ze skądinąd znajomej idei całkiem inne zjawisko i niespodziewane rozwiązanie. Chodzi o coś innego - do jakiego stopnia w tej społeczności międzynarodowej kwitnąć może pluralizm, aby naruszony został wreszcie ten sztywny gorset przynależności do lewicy albo prawicy. Przyznajmy otwarcie, że bez względu na to, ile jeszcze nowości me świat w zanadrzu, długo jeszcze prymat USA - przede wszystkim technologiczny i gospodarczy - nie zostanie naruszona a Ameryka nie odejdzie w zapomnienie. W gruncie rzeczy więc Stany Zjednoczone wcale nie muszą obawiać się tych nowych, multipolarnych tendencji, długo jeszcze będą poszukiwanym sojusznikiem i partnerem nawet w świecie wielobiegunowym. Zupełnie inaczej wygląda kwestia ZSRR.

W tym wypadku znaczenie opiera się na ilości a nie jakości i - co powtarza się w wielu analizach poświęconych temu krajowi - wewnętrzne bariery wzrostu nie pozwalają zmienić tego stanu rzeczy. Związek Radziecki bowiem - podobnie jak każdy inny kraj - musi mieć sojuszników, ponieważ zaś jest supermocarstwem, powinien ich mieć wielu. Co jednak może zaproponować? Socjalistyczną gospodarkę planową, która - od każdej dosłownie szerokością geograficzną okazała się rozpaczliwym fiaskiem? Szczególne zdobycze techniki, którymi w ramach sojuszniczej pomocy może się podzielić? Zbyt powszechnie na świecie wiadomo, że te propo-

zycje warte są niewiele. Jedyłą więc atrakcją pozostaje ideologia, wi-
zja powszechnej równości, sprawiedliwości społecznej dla wszystkich.
O tym, że i to, niestety, nieprawda, stosunkowo trudniej się przeko-
nać, żyjąc poza tym systemem. Dla wielu ludzi w biednych krajach, lu-
dzi, którzy ekonomicznie nie są w stanie stawać do kapitalistycznej
konkurencji, te wizje mogą być atrakcyjne. Po to jednak, by ten stan
utrzymać na dłuższą metę, niezbędna jest "dwubiegunowość" a z nią
przekonanie, że nie ma trzeciej drogi. Co więcej, skoro oprócz wspom-
nianych wartości niewiele już pozostaje do zaoferowania, trzeba sta-
rać się imponować ilością: ilością krajów i narodów, które "wybrały"
ten model rozwoju, bez tego bowiem szanse na nowe zdobycze byłyby
bardzo niewielkie.

Owa dwubiegunowość ma także znaczenie w polityce wewnętrznej oraz
w polityce w ramach bloku europejskich krajów satelickich. Własnym o-
bywatelom trzeba imponować potęgą ilościową, skoro nie można podnieść
jakościowych standartów ich życia. Europejskim krajom bloku - bardzo
ważnym z punktu widzenia polityki międzynarodowej Związku Radzieckie-
go - trzeba uświadomić, że nie mogą podejmować żadnych prób ewolucji,
które mogłyby prowadzić do jakichkolwiek form niezależnienia się od
wschodniego patrona. Nie mogą, bowiem NIE ISTNIEJE żadna możliwość
"neutralnego" socjalizmu. Wybór sprowadza się do najoczywistej nie-
realnej w obecnych warunkach geopolitycznych "zachodniej" drogi roz-
woju albo "opcji wschodniej". Stąd czarno-białe barwy, w których
przedstawia się nam stosunki międzynarodowe.

USA prowadzą politykę, która przede wszystkim gwarantować ma reali-
zację własnych interesów tego państwa - tego nikt nie ukrywa. W tych
ramach mieści się także popieranie demokracji liberalnej - ale pra-
gmatyzm dyktuje tu elastyczność - stąd też tyle razy USA gromi się w
w DTW za fałsz i dwulicowość - popieranie Marcosa i Corazon Aquino;
rodzin dyktatorskich w Ameryce Południowej i późniejszych rządów de-
mokratycznych. Związek Radziecki nie może sobie na taką elastyczność
pozwolić - poszukiwanym sojusznikiem nie będzie do chwili, kiedy nie
będzie dysponował jakąkolwiek atrakcyjną ofertą "ważną" na dłuższą
metę. Stąd więc - korzystając ze swej niekwestionowanej pozycji - mu-
si dalej czynić wysiłki by nie dopuścić do rozwoju pluralizmu, który
w konsekwencji mógłby doprowadzić do utraty tej pozycji - zdobytej
zresztą podczas II wojny światowej przy wydatnym współudziale amery-
kańskich pieniędzy.

ANATOL LUBUSKI

POKÓJ WRAZ Z WOLNOŚCIĄ

DLACZEGO WARTO BRONIĆ DEMOKRACJI

Przywódcy świata zachodniego zbyt często omijają temat istotnych różnic, który dzieli nasz system od zagrażającego nam systemu sowieckiego. W istocie nasze elity intelektualne rozwijają koncepcję, że między ZSRR i USA istnieje "moralna równoznaczność". Było to wyraźnie widoczne w wielu usiłowaniach, by przyrównać radziecką inwazję i okupację Afganistanu do amerykańskiej misji ratunkowej na Grenadzie, która przyniosła wolność i demokrację obłożonemu narodowi.

Równoznaczność moralna jest ideą podstępna, ponieważ zaciera różnice pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Radzieckim. Wynika z niej, że zmaganie obu stron nie mają żadnego komponentu moralnego, że jest to wyłącznie konkurencja siły rozgrywana między dwoma jednakowo zasługującymi na potępienie państwami. Moralna kwestia obrony zachodnich demokracji, która musi być podnoszona, jeżeli obywatele mają zechcieć popierać tę obronę, jest znacznie ograniczona przez sugestię, że nie mamy nic wyróżniającego się etycznie - i lepszego - do obrony przed naszym przeciwnikiem.

Co oddziela dwa systemy? Rzeczą pewną jest wyższość materialna Zachodu, mająca swe źródło w systemie swobodnego gospodarowania, jednak znacznie ważniejsza jest moralna wyższość liberalnej demokracji nad komunistycznym totalitaryzmem.

W pewnym sensie kontrast jest tak widoczny, że może być przyjęty bez dyskusji. Może to być wytłumaczeniem faktu, że wydaje się, iż rzadkie są przypadki, by temat ten podejmowany był w wystąpieniach publicznych. Przyzwyczailiśmy się wyłączać otwarte sądy moralne z dyskusji politycznych. Zgodni jesteśmy co do podstawowych zasad. W kręgach intelektualnych źle przyjmowane są dyskusje o naszej polityce strategicznej, w których zwraca się uwagę na moralną wyższość naszego systemu ograniczonego rządu i praw i wolności człowieka nad systemem marksizmu-leninizmu i jego represyjnymi wersjami.

Kiedy prezydent Reagan określił Związek Radziecki jako imperium zła, w kręgach akademickich i intelektualnych zawrzała gniew i oburzenie. Co o obecnej kulturze politycznej Zachodu mówi fakt, że tak wiele osób uznało uwagę Reagana za nieodpowiednią, lub nawet za gafę? Nie o to chodzi, że krytykujący uważają tę charakterystykę za nieprawdziwą. Ewidentnie jednak elity środków masowego przekazu sądzą, że jakikolwiek sposób zwrócenia uwagi na zło represyjnego, tyrańskiego systemu naszych komunistycznych przeciwników jest rażący i może nawet prowokacyjny /największe przestępstwo w oczach ludzi z tych kręgów/.

W jaki sposób doszliśmy do tego? Wydaje mi się, że droga wybrukowana jest złą terminologią - słowami, które zaciemniają lub czasami przekraczają kwestie moralne w stosunkach Wschód-Zachód. Na przykład przyjęło się, zwłaszcza w Europie Zachodniej, nazywać Stany Zjednoczone i Związek Radziecki "supermocarstwami". W pewnym sensie termin ten jest do przyjęcia, jeżeli po prostu służy za skrót przy opisie dwóch silnych militarnie krajów. Jednak częste używanie go w literaturze politycznej i popularnej pociąga za sobą przypuszczenie, że podział w stosunkach międzynarodowych przebiega raczej pomiędzy supermocarstwami a wszystkimi innymi narodami niż między demokracjami a systemami totalitarnymi.

Termin ten zakłada także, że podstawową charakterystyczną cechą Stanów Zjednoczonych jest ich potęga militarna a nie polityczna i eko-

nomiczna wolność ich obywateli. Zaliczając do jednej kategorii supermocarstw zarówno Stany Zjednoczone jak i Związek Radziecki, stawia się niekorzystną i fałszywą tezę o moralnej symetrii między Wschodem a Zachodem.

Celem przyświecającym demokracji nie jest potęga wojskowa, ale rozwijanie praw człowieka i wolności jednostki. To właśnie prowadziło i dalej sprowadza co roku miliony mniej szczęśliwych ludzi do naszych brzegów. Ruch uchodźców między blokiem sowieckim i demokracjami jest wyraźnie jednokierunkowy. Niewielu ludzi dąży do tego, by osiedlić się w Związku Radzieckim.

Około 10 miesięcy temu, kiedy odwiedziłem Fulda Gap, jeden z punktów granicznych między Wschodnimi i Zachodnimi Niemcami, o tym właśnie myślałem. Byłem oprowadzany przez naszych ludzi, którzy pokazywali mi nasze wieże obserwacyjne, wszystkie skierowane ku wschodowi, by informować o ewentualnej inwazji. Radzieckie wieże obserwacyjne we Wschodnich Niemczech także skierowane są na wschód. Skierowane są na wschód po to, by powstrzymać ludzi, by zatrzymać ich w imperium, by zapobiec temu, aby wydostali się na zewnątrz i poznali prawdziwą wolność.

Style przywództwa w krajach demokratycznych i totalitarnych są uderzająco różne. Demokracje kierowane są siłą perswazji a nie perswazją siły. Trzymając się zasad demokracji, jesteśmy głęboko zaangażowani w politykę globalnej pomocy a nie interwencji. Polityka zagraniczna demokracji odzwierciedla naturę polityki wewnętrznej. Dlatego właśnie naszych oddziałów nie ma już na Grenadzie, a jej obywatele, podobnie jak nasi, mają możliwość wybierania swoich reprezentantów. Państwa totalitarne także rozpowszechniają na skalę międzynarodową to, co praktykują w polityce wewnętrznej; Europa Wschodnia cierpi te same ograniczenia wolności politycznej i gospodarczej co Związek Radziecki.

Innym zwrotem często używanym dla podtrzymania tezy o moralnej równoznaczności jest "wyścig zbrojeń". Nie jest właściwą sugestią, że my w Stanach Zjednoczonych rozbudowujemy system broni w ilościach i wariantach porównywalnych ze zbrojeniami radzieckimi. Istotnie chcemy odzyskać potencjał obronny, ponieważ w latach siedemdziesiątych ograniczyliśmy inwestycje zbrojeniowe o 20% w nadziei, że Związek Radziecki uczyni podobnie. Nie zrobił tego. Potrzebujemy czasu na odzyskanie siły. To jest także kosztowne. I może być niepopularne. Jednak jest to konieczne.

Nie "ścigaliśmy się" z Rosjanami, kiedy zrównali się z nami a potem przekroczyli nasz pułap zbrojeń. Zamiast tego gorąco debatowaliśmy nad tym, jak najskuteczniej można powstrzymać zbrojenia i biernie opóźniliśmy wiele propozycji broni, by ułatwić osiągnięcie tego celu. Nawet wtedy, kiedy Związek Radziecki zwiększał swój arsenał, my ograniczyliśmy nasz. Określenie "wyścig zbrojeń" zaciemnia motywację, dla której zbroją się Stany Zjednoczone i tę, dla której rozbudowuje arsenał Związek Radziecki. My zbroimy się, by chronić nasze wolności i, kiedy możemy, by rozpowszechnić je także wśród innych. Rosjanie zbroją się, by zastraszać i napadać na wolne narody.

Nie są to jedyne niefortunne określenia, które przyjęły się w naszym słownictwie, odnoszącym się do moralnej równoznaczności. Terminy takie jak "wojny narodowowyzwoleńcze", "partyzantka", "komando" używane są do określenia obalania rządów przez siły marksistowskie, które nie chcą nikogo wyzwalać ani obdarzać wolnością, ale pragną wykorzystać istniejące trudności i poddać ludność represjom i indoktrynacji. Określenie "bojownik o wyzwolenie narodowe" używane jest czasami w odniesieniu do terrorystów, dla których przemoc nie jest tylko środkiem, ale i celem.

Tego rodzaju złe użycie słów narusza jasność myśli, utrudnia formowanie sądów moralnych, paraliżuje politykę demokratyczną w konfrontacji z działalnością wywrotową i terroryzmem. Musimy mieć w pamięci to, co powiedział Addison: "Słowa, kiedy są dobrze dobrane, mają w sobie taką siłę, że często opis daje nam żywsze wyobrażenie niż spojrzenie na rzecz samą". Słowa mają zdolność kształtowania rzeczywistości; w

tym sensie są one bronią i powinny być używane z rozmysłem.

Chciałbym, aby przywódcy naszej opinii społecznej kładli większy nacisk na pojęcie roli Zachodu w upowszechnianiu rządów prawa. W społeczeństwie amerykańskim prawo ma bardzo duże znaczenie. Odziedzyczyliśmy nasze prawo z Anglii, wiąże ono zarówno jednostki jak i rządy. Związek Radziecki także stanowi i wprowadza w życie prawo, ale na Zachodzie prawo reprezentuje bezpieczeństwo, nie ucisk, ponieważ nasze organy stanowiące prawo są usankcjonowane, opierając swą siłę na zgodzie rządzonych, nie zaś na sile fizycznej.

Oczywistym jest, że głównym celem amerykańskiej polityki bezpieczeństwa powinna być redukcja roli siły militarnej w sprawach międzynarodowych. Niektórzy zastanawiają się, dlaczego Departament Obrony nie zawsze dąży do natychmiastowej wojny. Jest tak dlatego, ponieważ uważamy za istotne, by nasza polityka narodowa polegała na dążeniu do redukcji znaczenia sił zbrojnych, tak samo jak ograniczyliśmy użycie przemocy fizycznej w naszej polityce wewnętrznej. Wiara, jaką pokładamy w rozmowach rozbrojeniowych oparta jest na nadziei, że dokumenty tego rodzaju mogą do pewnego stopnia zastąpić siły zbrojne jako gwarancje naszego bezpieczeństwa. Musimy jednak być realistyczni w naszych oczekiwaniach.

KRZEWIENIE POKOJU

W grze międzynarodowej są tacy uczestnicy, którzy posiadają społeczeństwa, w których prawo podległe jest interesom partii rządzącej i gdzie rząd utrzymuje się poprzez fizyczne zdominowanie swoich przeciwników. W Związku Radzieckim definicja moralności jest taka, jaką podejme partia i państwo. Założenie, że przywódcy tych państw, nie ograniczani przez żadne prawo wewnętrzne, będą stosować się do nie mających za sobą żadnych sankcji reguł prawa międzynarodowego, jest, delikatnie mówiąc, problematyczne. Ta kwestia jest, w moim przekonaniu, niezwykle istotna. Jej korzenie sięgają poza kontrolę zbrojeń. Możliwość oparcia naszego bezpieczeństwa w większym stopniu na prawie a w mniejszym na broni zależy od charakteru rządów w innych krajach.

Nie chcę przez to powiedzieć, że należy porzucić kontrolę zbrojeń. Albo też, że nie powinniśmy, z niezwykłą cierpliwością, próbować dochodzić do porozumień, dotyczących redukcji prowadzących do wyrównania poziomów. Głównym problemem tutaj jest możliwość weryfikacji. Możliwość weryfikacji musi być centralnym punktem negocjacji w naszych usiłowaniach, by zastąpić rządy siły rządami prawa.

Ci, którzy chcą z powodzeniem krzewić pokój międzynarodowy, muszą uczynić rozróżnienie między dwoma stanami rzeczy - z których oba nazwane są "pokojem". Jeden to pokój w połączeniu z wolnością. Jest to pokój oparty na założeniu, że państwa nie będą siłą sięgać po to, co do nich nie należy. Jest to pokój oparty na poszanowaniu dla praw człowieka, pokój oparty na prawie. Z pewnością taki pokój, istniejący na przykład między Stanami Zjednoczonymi a Kanadą, jest znacznie bardziej pożądanym niż pokój pomiędzy rozdzielnymi armiami, lub pokój oparty na strachu przed inwazją - taki jak ten, który panuje w Polsce, gdzie nie ma wolności. Pokój w połączeniu z wolnością może istnieć tylko między państwami, których rządy uznają za wiążące takie abstrakcyjne wartości jak prawa człowieka i prawo. Totalitarne rządy komunistyczne, których ideologia całkowicie odrzuca liberalne zasady ograniczonego rządu, nie uznają i nie mogą uznać takich zobowiązań.

W stopniu, w jakim my w Stanach Zjednoczonych pragniemy prawdziwego pokoju międzynarodowego wraz z wolnością, pokoju opartego na indywidualnych i suwerennych prawach i na zasadzie regulowania sporów drogą negocjacji, musimy uznać i realizować nasze interesy w stwarzaniu warunków, w których siły demokratyczne mogą zwyciężyć i rozwijać się na świecie. Na świecie nie zdominowanym przez nas, ale takim, w którym musimy starać się o utrzymanie naszego pokoju i naszej siły. W świe-

cie, w którym najlepszym sposobem utrzymania pokoju jest być silnym militarnie i w ten sposób powstrzymać wybuch wojny.

CASPAR WEINBERGER

Caspar Weinberger jest sekretarzem obrony. Artykuł ten jest skrótem przemówienia, wygłoszonego w lipcu 1985 w Międzynarodowym Związku Demokratycznym.

ANGLIO, CZAS POWSTAĆ !

Z Aleksandrem Sołżenicynem rozmawia Bernard Levin

Bernard Levin: W Pańskim przemówieniu w Tempelton powiedział Pan, że tragedia współczesnego świata polega na tym, iż człowiek zapomniał o Bogu. Kiedy i jak to się zaczęło?

Aleksander Sołżenicyn: To zaczęło się bardzo dawno temu, na Zachodzie, już przed przeszło trzema wiekami; w Rosji później, ale także jeszcze przed rewolucją. Nasze klasy oświecone zaczęły brać udział w owym procesie blisko 200 lat temu, natomiast klasy nieoświecone zostały tym dotknięte zaledwie jakieś 10 lat przed rewolucją. I był to najważniejszy z czynników, które zrodziły rewolucję.

Tak naprawdę to zaczęło się to, być może, podczas wojen religijnych, które podkopywać zaczęły religię i wiarę. Innym takim okresem był Renesans. W rzeczywistości był to potężny proces, trwający kilka stuleci. I nawet z początkiem epoki Oświecenia ciągle jeszcze nie wyklarował się on w pełni. Lecz był to proces, który zmierzając do swego celu nabierał stale przyspieszenia i który z pewnością stał się znacznie wyraźniejszy w XX wieku.

- Centralne miejsce zajęło przekonanie, że człowiek może wystarczyć samemu sobie?

- To powstało przede wszystkim jako reakcja na sztywność i surowość zasad średniowiecza. Był to jednakże proces, który gdy już się zaczął, z czasem stawał się nieuchronnie coraz szerszym i coraz głębszym. Jestem przekonany, że celem ludzkiej egzystencji jest nie szczęście, ale rozwój duchowy. To przekonanie jest jednak dzisiaj uważane za coś dziwaczego, coś niemal szalonego, choć może jeszcze 150 lat temu mogło się ono wydawać przekonaniem zupełnie naturalnym.

- Czy masy nie mają prawa do korzystania z dóbr materialnych, którymi dawniej cieszyli się jedynie nieliczni?

- Pragnę rozróżnić materialny dostatek - do którego każdy ma prawo - i konsumpcyjną zachłanność. Materialny dostatek jest czymś, co istniało w Europie od wielu stuleci. Być może inną skalę stosujemy do tych spośród nas, którzy przeszli Archipelag Gułag. Stało się jednak, że w świadomości człowieka, w jego stosunku do wartości materialnych, dokonał się swoisty zwrot. W naszych czasach ktoś, kto jest bardzo surowy i narzuca sobie ograniczenia, może być otoczony wszelkiego rodzaju materialnym komfortem czy nawet luksusem, a jednak pozostawać wobec tego

całkowicie obojętnym, ponieważ nie rzeczy materialne są podstawą naszego życia. Straszne jest nie to, że powszechny dobrobyt doprowadził do moralnego upadku. To moralny upadek spowodował, iż obecnie zbyt ugrzęźliśmy w materialnym dobrobycie.

- Czy w społeczeństwie demokracycznym możliwe jest ograniczenie konsumpcyjnej zachłanności?

- Społeczeństwa demokratyczne przeszły w ciągu ostatnich 200 lat okres bardzo imponującego, potężnego rozwoju. To, co zwykliśmy nazywać społeczeństwem demokratycznym kilka stuleci wcześniej, to zupełnie co innego, aniżeli to, co określamy w ten sposób dzisiaj. 200 lat temu, gdy powstawały społeczeństwa demokratyczne w niektórych krajach, istniała jeszcze całkiem jasna koncepcja Wszechmogącego, Boga. A sama idea równości przejęta została w rzeczywistości z religii, z pojęć religijnych; innymi słowy: wszyscy ludzie są sobie równi jako dzieci Boże. I nikomu nie przyszłoby do głowy próbować udowodnić, że marchewka jest tym samym co jabłko. Ludzie są w sposób zasadniczy różni w swoich możliwościach i zdolnościach, ale są sobie równi jako dzieci Boże. Tak więc demokracja staje się w pełni sobą, posiada prawdziwe znaczenie - aż do momentu, w którym ludzie zaczęli zapominać o Bogu. W ciągu ostatnich dwóch stuleci rzeczywistość odwróciła się od Boga i demokracja utraciła w ten sposób swoje wyższe oparcie. Zasady moralne były siłami, które powstrzymywały człowieka, to były hamulce wewnętrzne - w przeciwieństwie do instytucji.

- Czy w sercu człowieka jest coś ciemnego, czego nie da się wykorzystać bez względu na to, czy żyjemy w wieku wiary, czy nie?

- Tak jest. Zaś droga ludzkości jest długą drogą. I wieki historii, które przebyliśmy, są tylko małą częścią całej naszej historycznej drogi. Tak, przebyliśmy pokusy wojen religijnych i objawiliśmy się samym sobie jako godni pogardy; teraz stanęliśmy przed pokusą dobrobytu, czegoś więcej aniżeli materialny dostatek, przed pokusą luksusu, posiadania wszystkiego - i znowu okazujemy się godni pogardy. Nasz proces historyczny w rzeczywistości ukazuje człowieka stojącego w obliczu rzeczy stanowiących dlań pokusę, człowieka, który wydaje się sobie zdolnym do opanowania ich.

- Rozumiem, że Pan wysoko ocenia obecnego Papieża i jego dzieło?

- Tak, bardzo wysoko cenię jego osobowość, ducha, jakiego wniósł do Kościoła rzymsko-katolickiego oraz jego stałe i żywe zainteresowanie wszystkimi problemami współczesnego świata. W jednej z encyklik któregoś z jego poprzedników powiedziano, że głos naszych czasów to głos Boga. Obecny Papież nie zgadza się z tym stwierdzeniem i zwalcza je, gdyż głos tych czasów może być głosem fałszywym. Nie musimy słuchać tego głosu, lecz kontrolować go i poprawiać.

- Lecz różni księża Kościoła rzymsko-katolickiego w krajach uciskanych - myślę szczególnie o niektórych dyktaturach w Południowej Ameryce - uznali, że ich obowiązkiem jest wspomagać ruchy powstańcze. Co powiedziałyby Pan im?

- Gdy mówię o działalności Papieża we współczesnym świecie, gdy pieram ją i chwalebę, to mam na myśli fakt, iż kieruje się on stale świadomością tego, co Boskie. Innymi słowy, owszem, on uważa za stosowne wypowiadać się w tej czy tamtej kwestii, ale stale jest świadom pierwiastka Boskiego. Tymczasem księża, o których Pan mówi, którzy są aktywni w Południowej czy Środkowej Ameryce, ulegli w rzeczywistości jednej z pokus, jakie roztacza przed nimi socjalizm. Socjalizm, który u samych swych korzeni jest całkowitym zaprzeczeniem chrześcijaństwa, uwielbia udawać, że wziął wiele z chrześcijaństwa i nadał mu konkretną formę, konkretny kształt. Jest szczytem ironii, że nawet literatura a-

teistyczna w Związku Radzieckim posługuje się tym właśnie argumentem, mówiąc: Zobaczcie! Niesz socjalistyczny program jest w rzeczywistości programem chrześcijańskim.

- Czy jednak ksiądz nie może przeciwstawiać się uciskowi, nie będąc samemu poplecznikiem komunizmu?

- Tak, tak. Oczywiście, że może. Powiadam jednak, że księża ci wpadli w sieci tej pokusy, znaleźli się w pułapce. Pułapka polega na tym, że uwikłanie się w tską pracę odbywa się na poziomie całkowicie doczesnym, "ziemskim". Oni są kompletnie pochłonięci walką klasową - inaczej niżeli Papież, zewsze świadom wymiaru Świętości; a wymiar Świętości jest w rzeczy samej kryterium najwyższym.

- Niektórzy z nich mogliby odpowiedzieć, że zaangażowanie w walkę społeczną to w rzeczywistości wypełnienie nuki Chrystusa.

- Nie, tutaj są w błędzie. Walka społeczna musi być prowadzona z myślą o duchu każdej osoby ludzkiej i duchu każdej organizacji. Tymczasem gdy jesteście uwikłani po prostu w walkę o przywileje materialne, nie ma to nic wspólnego z chrześcijaństwem.

- Zwrócił Psn uwagę na fakt, że w krajach Wschodu dojrzeła duchowe odrodzenie; czy ucisk i cierpienia są konieczne, by ludzie zwrócili się ku sprawom ducha?

- Chciałbym wprowadzić tu pewne rozróżnienie, chciałbym mianowicie rozróżnić cierpienie od ucisku. Tak, cierpienia są niezbędne dla naszego duchowego rozwoju i doskonałości. Lecz cierpienia zsyłane są na całą ludzkość i nie każdą żywą istotę; są one zsyłane w stopniu wystarczającym, tak, że człowiek może spożytkować je dla swego rozwoju, jeżeli wie, jak to czynić. Natomiast, jeżeli ktoś nie czerpie z cierpienia tego, co powinno być czerpene, a zamiast tego staje się rozgoryczony i buntuje się przeciwko cierpieniu, to na pewno dokonuje w tym momencie niewłaściwego wyboru. Jeśli natomiast mówić o ucisku, straszliwym ucisku, jaki widzimy np. w ZSRR, to oczywiście przekracza on granice ludzkiej wytrzymałości. To jest doświadczenie, które naprawdę wykracza poza zwyczajne cierpienie. Miliony ludzi są po prostu miszdżone, fizycznie i duchowo miażdżone, unicestwiane; lecz ci, którzy przetrwali ten ucisk, stają się duchowo tak silni, tsk dojrzli, że w krajach komunistycznych są oni rzeczywistości naszą nadzieją. Dodam jeszcze, że 9 lat spędzonych na Zachodzie uczyniło mnie pesymistą. Patrząc ze Wschodu skłonny byłbym przypisywać Zachodowi dsleko więcej siły, daleko więcej determinacji i nieustępliwości, podczas gdy teraz nie miałbym pewności, że Zachód potrefi oprzeć się inwazji komunizmu, oprzeć się opsonowaniu i zniszczeniu przez komunizm. Możliwe, że cała walka ludzkości przeciwko komunizmowi będzie trwać znacznie dłużej, niż pierwotnie sądziliśmy i największą nadzieję pokładam w tych, którzy przeszli już przez straszliwe dziesięciolecia totalitarnego ucisku i nie zostali złamani, przeżyli.

- Z Pańskich słów zdaje się wynikać, że dopóki my również nie doznamy tego ucisku, nie odrodzimy się.

- Nie chciałbym stawiać kwestii tak brutalnie. Nie chciałbym stawiać prognozy: "tak, to jedyny sposób, w jaki to odrodzenie może się dokonać". Jeśli tylko społeczeństwa Zachodu potrosfilyby wreszcie zmobilizować się przeciwko komunizmowi, wówczas nie musiałoby tak być. Jsk powiedziałem, taki straszliwy ucisk nie jest konieczny, nie jest konieczny powszechnie - lecz by tak było, Zachód musi słucać głosów tych pisarzy, publicystów, tych przywódców, którzy mówią: "stoiemy w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, jesteśmy naprawdę w znacznie większym niebezpieczeństwie niżeli w r. 1940, kiedy latały nad nami niemieckie smoloty". Niestety, obświam się, że jeśli jakiś pisarz czy publicysta

na Zachodzie napisałyby coś podobnego, zostałyby wydrwiony i wyśmiany. A gdyby powiedział to którzyś z przywódców politycznych, nie zostałyby już nigdy ponownie wybrany.

- To jest okropny psradoks naszego swiate: ci, którzy nie mają wolności, łskną ją, a ci, którzy ją mają, zdają się nie troszczyć o nią.

- Myślałem kiedyś, że możliwe jest przeniesienie, przekazanie doświadczeń jednego narodu - innemu, w osteteczności za pośrednictwem literatury, lecz obecnie zeczynsm myśleć, że nikt nie może osiąść cudzego doświadczenia, jeżeli nie przejdzie przez nie. Trzebs mieć serce pełne współczucia, serce i duszę pełne zrozumienia i wrażliwości, sby być w stanie wziąć ne siebie i doświsdzczać cierpienis innych.

- Czy to możliwe, że są ludzie, którzy nie mogą znsleźć wolności w samych sobie i pragną być niewolnikami?

- Tek. Dzisiejsza Europa zachodnia jest pełna takich ludzi.

- Co jest przyczyną takiego stanu?

- Brak świadomości Boga, Świętości; im brskuje poczucie rzeczywistości. Zachód kipi od informacji, wy moglibyście rozumieć wszystko, a nic tu nie może być zrozumiane. Dla Rosjsn, którzy żyją pod sowieckim reżimem, rzeczą zdumiewającą, której po prostu nie możemy pojąć, jest to, dlaczego ludzie ns Zachodzie nie mogą tego zrozumieć.

- Czy jest rzeczą możliwą, aby we współczesnym świecie nowoczesne, postępowe społeczeństwo żyło kierując się przykazaniami religijnymi czy duchowymi?

- Dle dobrze rozwiniętego, ekonomicznie dobrze rozwiniętego społeczeństwa to jest nsjtrudniejsza ze wszystkich rzeczy. Ale po prostu nie ma innej drogi.

- Lecz jeśli jest tak, że im stsjemy się bardziej zaawansowani technicznie i materialnie, tym jest to - jak Psn mówi - trudniejsze, to czy cel nie jest odpycheny coraz dslej i dalej?

- Nie, chociaż niebezpieczeństwo zagubienie tego celu rośnie. Na tym polega los ludzkości, że im bardziej tracimy kontrolę nad sobą, tym bliższy jest ślepy zaułek, w który sami się zspędzemy. Nie jesteśmy jeszczce całkiem w ślepy m zsułku, ele najwyższy czes, sbyśmy zsczeli o tym myśleć. Słyszemy ciągle: prawa, prawa, stale mowa o prawach, lecz berdzo niewiele mówi się o odpowiedzialności.

- Jak wyjaśni Pan fakt, że od wielu lat niektórzy z nsjwiększych uczonych, profesorów s także ertystów byli, s niektórzy jeszczce nsdal są przekonsni co do sowieckiego komunizmu?

- Jedyne ci, w których intelekt wziął górę nsd duchowością, ned sercem, jedyne oni są do tego stopnis łatwowierni, że ulegają pokusom zręcznych kręactw marksizmu. Jestem przekonsny, że gdyby np. Izsak Newton dożył dnia dzisiejszego, z pewnością nie dałby się zwieść przez marksizm.

- Zawsze żywiłem przeświadczenie, że ocala nss nie intelektualisci, ale zwyczajny, prosty człowiek. Czy zgadza się Pan z tym?

- Widziałbym ten dylemat nie w taki prosty sposób. Ludzi, którzy mogliby zswrócić ludzkość lub społeczeństwo, widzimy, by tak rzec, w linii pionowej i być może kwsntytetywnie więcej znsjdujemy ich na dole - po prostu dlatego, że są bardziej liczni. Z pewnością jednak nie można w tym schemacie pominąć ludzi znajdujących się u szczytu drabiny społecznej. Cała historia pokazuje, że w wypadku wszelkich ważnych przeobrażeń, historycznych czy społecznych, w wypsku wszelkich ważnych przemien, ich poprzednikami byli zawsze jeden, dwa czy trzy ludzie,

k którzy wyprzedzili ten proces o całe stulecie albo i więcej. Nie mogli-
byśmy niczego zdziałać bez tych poprzedników, bez takich przywódców.
Ale mem tu na myśli przywódców prawdziwych, nie zaś tych, którzy podą-
żyli za hasłami i szalbierstwami merksizmu. Ci ostatni znejdą się w
śmiesznym i upokarzającym położeniu i wielu z nich będzie tego żałować,
lecz wówczas będzie już za późno na płacz.

- Jeżeli przyjmujemy, że nie będzie wojny, jsk wyobraża Pan sobie
przyszłość Zachodu?

- Nie mogę w ogóle przyjmować takiej perspektywy, gdyż uważam wojnę
- nie wojnę nuklearną, lecz po prostu wojnę - za nieuniknioną. Innymi
słowy: zaliczam tutaj wszystkie eksplozje wewnętrzne oraz tak zwane
wojny narodowo-wyzwoleńcze, a sądzę, że wiele krajów Europy jest blis-
kich takich eksplozji. I tego rodzaju sytuacja często popiersne jest
przez samych przywódców tych krajów. Widzieliśmy, w jaki sposób Brandt
osłabił Niemcy Zachodnie, jak Pelme rzeczywiście pomagał Północnemu
Wietnamowi i co rabi teraz Papendreu w Grecji - jest wiele, znacznie
więcej przykładów. Wojsn niekoniecznie musi przyjść z zewnątrz, przy-
chodzi także od wewnątrz, i to nawet niekoniecznie w formie obecnych
powstań; ona może nadejść także w postaci politycznej ślepoty przywó-
dców politycznych. I dlatego absolutnie nierealistyczne wydeje mi się
myślenie w kategoriach status quo; nie będzie żadnego status quo, nie
ma nawet jednego roku, w którym moglibyśmy być świadkami status quo.

- Czy sądzi Pan, że socjalizm musi z czasem nieuchronnie ulec dege-
neracji i przeobrzeć się w komunizm?

- Jestem ebsolutnie tego smego zdenis, co nesz wspaniały uczony
Orłow, ten Orłow, który od wielu lat przebywa w więzieniu. Krótko
przed swoim aresztowaniem opublikował srtykuł, w którym poksał, że
kszdy socjalizm, nawet w najłagodniejszej, najbardziej "demokratycz-
nej" formie, jeżeli jest konsekwentny, logiczny, jeżeli idzie nieprzód
i nie zbszcza w jedną lub drugą stronę, lecz podążs zgodnie ze swą wła-
sną wewnętrzną logiką - musi nieuchronnie przekształcić się w komu-
nizm. I widzimy, że sbсолютnie wszędzie, w każdym krsju, w którym
się to dzieje, socjalista będzie zwsze ustępował miejsca komuniście.
Oni nie utrzymają się na swoich pozycjach.

- Chciałbym porozmawiać teraz o rozbrojeniu nuklearnym. W naszym
krsju trwa obecnie potężna kampsnia na rzecz rozbrojenia jednostronne-
go. Jak Pan sądzi, co to oznacza?

- Przede wszystkim przyjrzyjmy się temu najpierw ne poziomie uni-
wersalnym. Uważsm zbrojenia nuklesrne, chemiczne, bakteriologiczne za
bezwzględnie odpychające i przereżające. Nigdy nie potępiabym nikogo,
kto protestuje przeciwko zbrojeniom nuklearnym. Ale problem polega na
czym innym. Zachód ponosi morelną odpowiedzialność za podjętą 40 lst
temu decyzję produkcji i użycia broni jądrowej. Obecnie Zachód bez
broni jądrowej jest niczym. Wszystko po prostu oparte jest na broni
jądrowej. Błąd leży u samego początku, w momencie, gdy podjęto decy-
zję, by postawić i oprzeć wszystko ns zbrojeniech nuklearnych. Ta decy-
zjęs zabezpieczała Zachód na 20-30 lat, lecz teraz to działa jak bu-
mereng - wrecs z powrotem.

Drugi aspekt sprawy - ne poziomie, by tak rzec, jednostkowym - sts-
nowi niezwykle ślepotą społeczeństw, a także ludzi młodych. Od pół
wieku mieliście możność otwarcia oczu społeczeństw i młodzieży, a mło-
dzi ludzie na Zschodzie po prostu nie zdsją sobie sprawy z prawdziwej
sytuacji. Spróbujcie tylko zepytać ich, dlaczego takiego ruchu ne
rzecz nuklearnego rozbrojenia nie ma w Związku Rsdzieckim. Nie zrozu-
mieją nawet tego pytanie, nie zedsdzą sobie trudu, by zrozumieć. Po-
wiedzą najwyżej: powinniśmy przeprowadzić u nas jednostronne rozbroje-

nie e komuniści pójdą za naszym przykładem. Mamy tu do czynienie nie tyle z niewiedzą, co z całkowitą ślepotą i brakiem zrozumienia; jest to także osłabienie, totalna erozja woli. Niech Pan pójdzie do tych młodych ludzi i zapyta ich: w porządku, zgadzamy się na jednostronne rozbrojenie, ale czy pójdziecie jutro do wojska, by umrzeć - do zwyczajnej, konwencjonalnej armii? Jeżeli będą szczerzy, odpowiedzą: och, nie. Dzisiaj przeciwstawianie się zbrojeniom nuklearnym jest w rzeczywistości bardzo wygodnym pretekstem, który zamaskować ma i ukryć jeżeli nie ich moralne tchórzostwo, to przynajmniej ich moralną słabość. W rzeczy samej oni nie chcą żadnego rodzaju zbrojeń, żadnego rodzaju pracy, oni po prostu wcale nie chcą stawiać oporu.

W końcu trzeci poziom tego zagadnienia, to oczywiście aktywny udział sowieckich pieniędzy, sowieckie uczestnictwo i sowiecka organizacja. Komuniści mają tu ogromne doświadczenie. Już w 1917 roku Lenin dawał po 5 albo 10 rubli za udział w demonstracji przeciwko Rządowi Tymczasowemu. Stalin zorganizował tzw. ruch na rzecz pokoju wówczas, gdy nie posiadał jeszcze bomby atomowej, i on także miał na to pieniądze. Oczywiście, ta zasada jest kontynuowana. Lecz, aby już zakończyć odpowiedź na to pytanie, pragnę podkreślić jedną rzecz: problem nie sprowadza się w rzeczywistości tylko do sowieckiego współudziału i organizacji. Jeżeli tylko Zachód nie wspierałby się od kilku dziesięcioleci na broni jądrowej i gdyby młodzi ludzie mieli nieugiętą wolę oraz byli odpowiednio informowani, żadna sowiecka akcja nie powiodła by się.

- Niektórzy zwolennicy nuklearnego rozbrojenia w tym kraju mówią, że skoro nie mogą działać niczego, jeżeli chodzi o zbrojenia sowieckie, jedyną rzeczą jaką mogą zrobić, jest protestowanie przeciwko naszemu zbrojeniom, ponieważ gdzieś trzeba zacząć.

- Z ich punktu widzenia to wygląda bardzo słusznie: protestować przeciwko broni jądrowej, która jest straszliwa, tak. Ale to, czym są, a o czym zapominają, co ukrywają za tym, co jest zasłaniające - to ich niechęć do obrony własnego kraju. Przywódcy sowieccy nie muszą nawet używać w tej sytuacji broni jądrowej. Posłużą się bronią konwencjonalną i przy jej pomocy po prostu zaważną wszystkim nie napotykając na opór. A tym młodym ludziom, którzy są tacy odważni podczas swych demonstracji i którzy podając sobie ręce tworzą kilometrowe łańcuchy, powie się: nie wolno wam zbierać się w liczbie większej aniżeli trzy, a nawet dwie osoby. Jeżeli powie im się: żadnych zgromadzeń większych niż dwie lub trzy osoby, oni usłuchają.

- Niektórzy powiadają, że skoro wojna atomowa byłaby katastrofą dla całego globu, lepsza od niej - nawet dla tych, którzy nienawidzą komunizmu - byłaby kapitulacja.

- Chciałbym jedynie przypomnieć słynne powiedzenie "lepiej być czerwonym aniżeli martwym" - w gruncie rzeczy nie ma w nim żadnej alternatywy, ponieważ być "czerwonym" to w rzeczywistości umierać powolną śmiercią. Wolni ludzie Zachodu zmarowali 65 lat. Byli całkowicie uzbrojeni i nie walczyli. Gdy znajdują się pod rządami komunizmu, odkrywają, że stali się niewolnikami, co więcej, zdychającymi niewolnikami. Cto, kiedy oni zaczną walczyć, tyle że w odmiennych już warunkach. A najbardziej zdumiewające jest to, że Zachód zdaje się nie słyszeć tak wyraźnie ogłoszonego mu wyroku śmierci. W r. 1919 utworzono Komintern i jego przywódcy, Lenin i Trocki, którzy w tym momencie nie mieli żadnej broni jądrowej - jedynie białe jaskie karabiny i naboje, ogłosili zachodniemu światu wyrok śmierci; Zachód się śmiał. 60 lat temu cała wykształcona Rosja, śmiertka rosyjskich intelektualistów, w s z y s c y mówili: "spójrzcie, to jest coś zupełnie niepodobnego do czegokolwiek, co widzieliście wcześniej"; Zachód pozostawał kompletnie głuchy. 50 lat temu kłody drewna z obozów z napisami wykonano

nymi krwią przez tych, którzy więzieni byli na północy, te kłody drewna przedostały się jakoś na Zachód. 40 lat temu miliony sowieckich ludzi ponownie opowiadały o okropnościach. Nie tylko nie słuchano ich, ale setkami, tysiącami, milionami po prostu zwracano ich z powrotem i zdradzano, wyjącaj na niewolę i pewną śmierć w Związku Radzieckim. 30 lat temu Krawczenko w czasie słynnego procesu, o którym słyszano w Paryżu, ogłosił prawdziwą istotę sowieckiego reżimu i również nie został wysłuchany. Historia nie wybacza tak wielu błędów.

- Chociaż zostaliśmy skazani na śmierć 65 lat temu, wciąż istniejemy. Dlaczego nie miałyby być tak nadal?

- Ponieważ nie ma porównania pomiędzy sytuacją, kiedy Kreml nie posiadał dostatecznej ilości karsbinów i sytuacją dzisiejszą, kiedy ma on najlepsze wyrzutnie rakietowe na Kubie i w Nikaragui, najlepsze bazy morskie w Anglii, Mozambiku, Południowym Jemenie. Widzimy, że ten proces nie tylko jest stały, ale nabiera przyspieszenia z przerażającą szybkością.

- Czy sądzi Pan, że powstanie "Solidarności" jest znakiem rzeczywistej nadziei, czy też fakt jej zdławienia oznacza, że nadziei nie ma?

- W tym całym fenomecie jest więcej nadziei niż rozczarowania. To jest ruch, który dał nam nadzieję przede wszystkim ze względu na swe rozmiary i duchowy kierunek, który oparł się nie na socjalizmie, nie na chrześcijaństwie. Polska była w stanie to zmanifestować dzięki potędze swego Kościoła, ale jest to z pewnością znak tego, co mogłoby się wydarzyć w innych krajach komunistycznych. Ale co się tyczy Polski, Zechód zachował się naprawdę tak, jakby to było przedstawienie oglądane na scenie; jest tu pewne podobieństwo do stanowiska Zachodu w sprawie Afganistanu. Ponieważ Zachód ciągle ma nadzieję, że na Wschodzie wydarzy się rodzaj cudu, który uwolni Zachód od konieczności obrony. Może zamiast Breżniewa będziemy mieli dobrego liberała Andropowa albo jakiegos innego gołąbka; może ruch polskiej "Solidarności" całkowicie zmieni sytuację w Polsce, potem na Litwie, potem w całym Związku Radzieckim. Wydarzenia te nie mogą jednakże być oglądane jak widowisko; one muszą być odbierane jak wołanie, jak apel o zmobilizowanie sił wewnętrznych. Na przykład w Polsce zachodni wierzący pragną mieć niespłacone przez Polskę długi. Oto psychologia Zachodu: pomagamy ludziom - to detuje się od czasów Roosevelta, gdy cele fabryki wraz z wyposażeniem wysyłano do zmontowania w Związku Radzieckim. Od tego czasu Zechód w rzeczywistości stale umacniał rządy komunistyczne.

Spójrzmy teraz na Afganistan. Wojna trwa tam od trzech lat. W ciągu całego tego czasu Zachód, poza wyrażeniem ogólnikowej sympatii, nie zrobił dla tego kraju niczego konkretnego. Gdyby Zachód rzeczywiście zrozumiał, że wszystkie komunistyczne rządy świata są jego śmiertelnymi wrogami i że ten rodzaj odprężenia, żadne uśmiechy nie zmieniają tej sytuacji - a z drugiej strony, że wszyscy prześladowani ludzie są jego sojusznikami - wówczas mógłby już dawno poprzez swą akcję w Afganistanie doprowadzić do zupełnie innej sytuacji. Moglibyśmy już obecnie mieć dwa, trzy, cztery regimenty byłych żołnierzy radzieckich gotowych i pragnących walczyć w ten sposób. Lecz rządy zachodnie, włącznie z rządem amerykańskim, panicznie boją się gniewu Kremla.

Po wtóre, pod koniec drugiej wojny światowej Zachód podkopał wiarę i ufność wszystkich narodów na Wschodzie. Wierzyliśmy, że Zachód jest z nami, podczas gdy Zachód wydeł tych, którzy walczyli z komunizmem, wydał ich na pewną śmierć i unicestwienie. Ta historia nie może być zapomniana.

- Jeśli przypuścić, że Jaruzelski chciałby poprawić sytuację Polaków do poziomu takiego, jak Kadar na Węgrzech, czy przyjąłby to Pan z zadowoleniem, czy też polemizowałby Pan z tezą, że najpierw musi być

źle, ażeby potem mogło być lepiej?

- Nie stawiałbym sprawy w ten sposób. Z pewnością powitałbym z radością każdą poprawę sytuacji Polaków, przede wszystkim jednakże nie przeceniałbym tego, co Kadar zrobił dla Węgrów. Gdy dokonano inwazji na Czechosłowację, Kadar uczestniczył w tej inwazji wcale ochoczo. Każdy przywódca komunistyczny ma pewne granice, w obrębie których może działać bardzo wiele. Gdyby dla przykładu Jaruzelski usiłował okazać się patriotą i naprawdę próbował poprawić warunki życia Polaków, gdyby rzeczywiście to zrobił, wówczas natychmiast zostałby zdjęty i na jego miejsce postawiono by kogo innego.

- Przywódcy sowieccy zdają sobie sprawę, że system się nie sprawdza, nie mogą wyżywić swoich obywateli, muszą utrzymywać gigantyczny aparat przemocy, wiedzą, że są znienawidzeni przez miliony - dlaczego postępują tak nadal?

- Widzą, że ich system działa naprawdę bardzo dobrze, ponieważ ma on na swoim koncie takie sukcesy geopolityczne, jakich nigdy nie miał żaden zdobywca na przestrzeni całych dziejów. Tak, w porządku, gospodarka wewnętrzna upada, ale gdy przyjdzie kryzys, świat kapitalistyczny zawsze im pomoże. A to, jak ludzie żyją, co mają, nie jest naprawdę celem ani dążeniem tych przywódców. To jest rząd, który nie ma pojęcia o tym, jak ludzie żyją. Umierają - dobrze, pozwólmy im umierać. Znajdą się inni, nad którymi będziemy panować.

- Takie społeczeństwo, oparte na kłamstwie, z pewnością nie może istnieć wiecznie - to dom zbudowany na piasku. Czy Pan się z tym zgadza, a jeżeli tak, proszę powiedzieć, jak wyobraża Pan sobie początek jego rozpadu?

- Oczywiście, ono nie może istnieć wiecznie. Oczywiście, przyszli historycy będą mówić, że komunizm istniał od roku X do roku Y. Ale ponieważ od 2/3 stulecia Zachód w swoich stosunkach z komunizmem popełniał błąd za błędem, doszedł do bardzo pesymistycznego wniosku, że komunizm ciągle ma realne szanse rozprzestrzenia się na cały świat. Patrząc z zewnątrz, można by posłużyć się obrazem zaćmienia księżyca, gdy cień pokrywa ziemię i przesuwa się po niej. Ten cień pokrył Związek Radziecki, Chiny, a potem będzie stopniowo przesuwał się nad tych części świata, pokrywając inne i w końcu opuści ziemię.

- Czy można przewidzieć, kiedy się to rozpocznie?

- Nie, forme i czas pozostają dla ludzkiego rozumienia czy wobrenienia sprawą otwartą - nie wiemy. Od momentu wprowadzenia komunizmu, gdy stał się on w Związku Radzieckim siłą, już od samego jego początku najinteligentniejsi Rosjanie powtarzali: "to potrwa 5 lat, 10 lat, to nie może trwać dłużej". Zachód wyglądał jak skała, jak forteca, lecz widzieliśmy, że ten absurd trwał i trwał, a Zachód jest coraz słabszy. Nie będę się zatem wypowiadał na temat przypuszczalnego czasu czy możliwej formy. Jestem jednak bezwzględnie pewien, że komunizm przemienie jak to zaćmienie, o którym mówiłem. Nawet, jeśli chodzi o naszą kulturę, która znajduje się pod panowaniem komunizmu od 65 lat, widzimy, że ze wszystkimi swoimi zbrojeniami i środkami zagłady komunizm nie był w stanie wykorzenić z naszego kraju chrześcijaństwa. Osobiście jestem głęboko przekonany, że jeszcze za mego życia powrócę do ojczyzny.

- Przywódcy węgierskiej rewolty 1956 i czeskiej wiosny 1968 wszyscy wywodzili się z partii komunistycznej. Czy uważa Pan za możliwe, że w Związku Radzieckim są tacy ludzie, którzy czekają na stosowną chwilę i torują sobie drogę ku górze hierarchii?

- Przede wszystkim pragnę odróżnić przykład węgierski od czeskiego.

Model czeski nie miał perspektyw, nie miał przyszłości. To było próba podjęta przez ludzi, którzy uważali samych siebie za całkowitych, "pełnych" komunistów - próba niedania komunizmowi tzw. "ludzkiej twarzy", co było niepodobieństwem, nawet gdyby Układ Warszawski nie dokonał inwazji na Czechosłowację lub gdyby nawet Dubczek i jego frakcja nie utrecili całego poparcie.

Model węgierski natomiast budzi nadzieję i otwiera perspektywy. Widzimy w nim bowiem odrodzenie uczuć narodowych zamiast wyłącznie samoobrony i samozadowolenia. /Muszę wyznać prywatnie, że powstanie węgierskie w 1956 i cśkowiata bierność Zachodu były dla mnie głębokim szokiem. Utraciłem wiarę w Zachód/. Tak więc model węgierski ukezuje, że nawet wewnątrz systemu komunistycznego, nawet poprzez jego przywódców, może narodzić się poczucie narodowego instynktu samozachowawczego. Tak samo, jak w chorym ciele mogą nieoczekiwanie wytworzyć się przeciwciała, by pokonać chorobę. Należy jednek powiedzieć, że w tamtym momencie, w momencie węgierskiego powstania, system komunistyczny penował zaledwie od około 8 lat. Węgry nie były jeszcze wówczas przez komunistów złamane. Wśród kadr komunistycznych byli jeszcze ciągle ludzie, którzy nie zostali całkowicie złamani, podczas gdy my w Związku Radzieckim mamy ten system od ponad 65 lat. Co oznacza, że przeminęły dwie lub trzy generacje; ponadto w hierarchii komunistycznej trwa stały proces selekcji. Gdy tylko pojawi się człowiek uczciwy, z zasadami, system ten po prostu eliminuje go i on albo odchodzi, albo ginie. Wszelako jestem głęboko przekonany, że nasz naród jako organizm nie jest jeszcze mśrtwy i dlatego młode, żywe pędy pojawiają się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. To jest instynkt, dzięki któremu naród ocala samego siebie. Dzięki mojej pracy wiem, potrafię to instynktownie odczuć, tam jest bardzo wielu ludzi, którzy myślą tak jak ja. Ja reprezentuję naród rosyjski. Gdybym nie reprezentował nikogo, władza nie obawiałaby się mnie.

- W latach trzydziestych Zachód obudził się dopiero wówczas, gdy wybuchła wojna. My musimy się przebudzić, zsnim wybuchnie nowa wojna. Co nes obudzi?

- Nie chciałbym, ażeby to były sufity spadające na nasze głowy. Chciałbym usłyszeć donośny głos wybitnych osobistości, pisarzy, publicystów, przywódców politycznych, którzy mają odwagę zawołać: "spójrzcie, sufit pęka i może runąć!". I nie powinni oni obewiać się, że będzie się o nich mówić: "Och nie, to opinie zbyt skrajne, zbyt absurdsine".

- A co Pan powie o uwarunkowaniach zewmętrznych? Co musieliby zrobić komuniści, co musieliby zrobić sowieccy przywódcy, ażebyśmy stawili opór?

- Nie wiem. Jak dotąd, nie widzieliśmy ani jednego kraju, w którego obronie Zachód by powstał i walczył. Może Stany Zjednoczone mogłyby przystąpić do wojny w obronie Izraela. Nie wiem, czy Europa potrafiłaby welczyć o swoją ropę naftową. To nie jest kwestia stopnie niebezpieczeństwa, który mogłyby was skłonić do walki, to sprawa wewmętrznej świadomości. Co mogłoby być bardziej przerażające, co mogłoby być bśrdziej oczywiste, aniżeli sposób, w jaki Czerwoni Khmerzy wyniszczyli, unicestwili własny naród? Albo na przykład wietnamscy "boet people", którzy potonęli. Czy znajdujecie dla tego jakiegolwiek współczucie?

- Gdyby był Pen doredcą prezydente Reagana, co by Pan mu powiedział?

- Muszę wyznać, że prezydent Reagen naprawdę nie potrzebuje moich rad ani zaleceń. Przeciwnie, on nie przestaje otrzymywać publicznych rad od czołowych amerykańskich publicystów i rozmaitych czasopism - rad tego rodzaju, że nawet osłu zwiędyby uszy. Nie sądzę, ażeby problemem Resgana był brak zrozumenie dla jego polityki - on musi wal-

czyć ze ślepotą i krótkowzrocznością opinii publicznej. Nie może nawet sprawić, ażeby ta opinia publiczna uświadomiła sobie, iż właśnie teraz jesteśmy świadkami montowania w Środkowej Ameryce nowego frontu przeciwko Stanom Zjednoczonym. Gdy Reagan powiedział, że stoi w obliczu konfrontacji, decydującej konfrontacji z komunizmem, został wygwizdany i wyśmiany, uznano go winnym zełamania procesu odprężenia. Tymczasem to, co zrobił, to był w rzeczywistości zaledwie mały krok w kierunku, w którym zamierzał pójść. Amerykańska opinia publiczna jest taka, że - no dobrze, dam Panu przykład z dziedziny nawigacji. Gdy obecnie usłyszysz sygnał S.O.S., musisz zapytać: "Kim jesteś? Czy posiadasz demokrecję?". W porządku, jeśli u nich jest demokracja, idź i ratuj ich. Jeżeli to jest komunistyczne S.O.S., wtedy my rzeczywiście musimy ich ratować, ponieważ musimy uniknąć nieprzyjemności. Lecz jeśli to jest jakiś niedemokratyczny reżim zachodni, on może pójść na dno i zatonąć! To jest szaleństwo. Są tacy, którzy znajdują się obecnie na pierwszej linii, pod ogniem. A to, czego się od nich wymege, to demokrecja. W Salwadorze wybory odbywały się pod ostrzałem karabinów maszynowych i wyborcy naprawdę byli koszeni ich ogniem. Kongres amerykański i amerykańska opinia publiczna wołały: "Tam nie ma dostatecznej demokrecji - podejmijcie rozmowy z bandytami, organizujcie kolejne wybory pod ogniem karabinów". Tego rodzaju przykłady sprawiają, że naprawdę zaczynam myśleć o Zachodzie jako o wielkim domu wsriatów.

- Gdyby miał Pan sposobność powiedzenia czegoś przez radio swoim rodakom, co by Pan im powiedział?

- Jestem publicystą naprawdę z konieczności, wbrew swojej woli. Gdybym mógł przemówić przez radio do moich rodaków, czytałbym im moje książki, moje powieści, ponieważ w wywiadach i artykułach nie mogę przekazać nawet setnej części tego, co zawarłem w moich powieściach.

- Czy Anglia - abstrahując od Zachodu jako całości - mogłaby coś zrobić w sprawach, o których mówiliśmy?

- Sądzę, że angielska historia pokazała niejednokrotnie, iż Anglicy posiadają szczególną umiejętność, nadzwyczajną zdolność mobilizowania się w chwilach zagrożenia. Może to właśnie Anglia mogłaby zrobić jedną czy dwie z rzeczy, o których mówiłem. Jeżeli w Anglii możliwa okazałaby się moralna mobilizacja, teraz, zanim sufit spadnie na głowę, wówczas powstanie, jakiego oczekuje się od Anglików, wystąpienie nawet samej Anglii przeciwko komunizmowi zrobiłoby na komunistach ogromne wrażenie. W swej rządy panowanie nad światem oni są rzeczywiście bardzo mądrzy, jeśli chodzi o umiejętność wyboru i rozpoznawania słabszych kęsków, które można połknąć najpierw. Ale gdy napotkają na nieugiętą wolę u przeciwnika, wówczas wycofują się. Kapitulują nawet przed własnymi więźniami, jeśli ci trzymają się twardo.

- Jekim przesłaniem pragnąłby Pan zakończyć ten wywiad?

- Chciałbym wezwać Anglików do opamiętania się, póki nie jest za późno. Nadeszła pora, by ograniczyć nasze wymagania, nauczyć się samopoświęcenia i nauczyć się, jak poświęcać siebie dla ocalenia swojego kraju i społeczeństwa.

- Dziękuję.

"Times" 23.05.1983 r.

Europa Środkowa: anegdota i historia

1. Blaise Cendrers przytacza opowiastkę o brazylijskim Metysie, który przyjechał do Czechosłowacji, żeby zaoferować Bati delikatne wężowe skórki. Ale król taniego obuwia nie był zainteresowany transakcją i odprawił łowcę z kwitkiem. Dumny Metys zrozumiał, że nie wskóra tu niczego. Delikatne, wykwintne skórki brazylijskich wężów są jakby atworzone dla wymuskanych nówek elegantek z Paryża czy Londynu, lecz nie pasują do płaskich stóp Europy Środkowej.

Opowiastka ta trafia w sedno sprawy. Trudno byłoby znaleźć bardziej adekwatne określenie aniżeli "płaskie stopy". Jest czymś więcej niż efektowną metaforą - to pojęcie stricte socjologiczne, diegnoza charakteru, ortopedyczna wada mentalności środkowoeuropejskiej. Płaskostopie wykoślawia nie tylko chód, ale i myślenie.

W Europie Środkowej wszystko jest płaskie, wyrównane, podporządkowane powszechnej przeciętności. Ludzie unikają ekstremizmów. Tradycja biedermeieru z powodzeniem przeżywa wszystkie reżimy, mody i style. Złota droga środka jest drogą Europy Środkowej. Nie ma tu skrajnej nędzy ani wielkiego bogactwa, ekstremalnej prawicy ani radykalnej lewicy, gwałtownych namiętności ani trzeźwego rozumu - intuicja, ostrożność oraz dowcip stanowią uniwersalne panaceum. Kto nie potrafi robić z siebie idioty, jest zgubiony. Europa Środkowa to powiatowy świat małych stosunków, ojczyzna płaskich stóp.

2. Ned Europą Środkową unosi się ciężka woń gotowanej kapusty, zwiętrzałego piwa, czuje się mdły zapach przejrzałych melonów. Jest to ziemia o charakterystycznym zepachu. Granice są nieostre, irracjonalne, jedynie węch pozwoli je wytyczyć z całą pewnością.

Pierwsze problemy powstają przy geograficznej próbie definicji pojęcie. Cóż to takiego Europa Środkowa i gdzie właściwie leży? Żaden z leksykonów nie podaje dokładnej definicji, wszystkie odpowiedzi są wymijające, nieokreślone, ogólnikowe. Dle zachodniego Europejczyka z minionych stuleci Europa Środkowa to przede wszystkim Szwajcaria i Niemcy. O Węgrzech i Polsce mowy nawet nie było, leżały na peryferiach Europy. Jednakże od tamtych czasów wiele się zmieniło. Szwajcaria i Niemcy przesunęły się daleko na zachód, a z oparów wschodu wynurzyła się potężna Rosja. Pomiędzy Wschodem i Zachodem powstała wyraźna luka, którą w ciągu XIX wieku zapełniała zaczęła Europa Środkowa.

W ujęciu nauczyciela geografii Europa Środkowa jest obszarem śródładowym. Nie nawiedzają tej spokojnej strefy wielkie klęski żywiołowe: trzęsienia ziemi, tornade, cyklony. Ich brak powoduje, że ludzie są łagodni, zrównoważeni, zwyczajnie przeciętni. Nie znajdziemy tu żaru namiętności, a tylko stojącą wodę Europy Środkowej.

Charakter śródładowego krajobrazu jest wprawdzie względnie różnicowany, niemniej w porównaniu z bujną roślinnością Południa de się sprwadzić do środkowoeuropejskiej puszczy. Czeski Las jest poetyckim mitem. Mimo to założmy, że Europa Środkowa to odrębny obszar geograficzny, tak jak kreje basenu śródziemnomorskiego, Skandynawia czy Bałkeny. Pejzaż środkowoeuropejski jest w takim razie elementem mentalności, Środkowoeuropejczyk zaś typowym mieszkańcem tego poddanego kulturywecji,

ale jednocześnie zachwaszczonego obszaru.

3. Pojęcie "Europa Środkowa" zapewne nie powstałoby bez monarchii austriackiej. Habsburgowie wykorzystali chaotyczne stosunki w strefie środkowoeuropejskiej i z poszczególnych części stworzyli jedno wielkie państwo. Pod wspólny dach dynastii trafiły tak odmienne narodowości, jak Czesi, Węgrzy, Niemcy, Polacy, Rumuni, Żydzi galicyjscy, Rusini, Chorwaci...

Koncepcję Europy podzielonej na części zachodnią, wschodnią i środkową opracował w zasadzie kanclerz Metternich. Po Kongresie Wiedeńskim w roku 1814 wyznaczono główne strefy wpływów mocarstw europejskich: car rosyjski dostał wolną rękę na Wschodzie, państwa zachodnie miały zelaćwiać porachunki we własnym regionie, monarchia austriacka zaś adoptowała reaztę, to znaczy Europę Środkową. Polityka restauracji Metternicha dążyła do zapewnienia w Europie spokoju poprzez równowagę sił. Między Wschód i Zachód wbity został problematyczny klin środkowoeuropejski, mający zabezpieczyć Europę przed ewentualną konfrontacją.

Okazuje się, że Europa Środkowa jest pojęciem zdecydowanie geopolitycznym, uzależnionym od kontekstu polityki ogólnoeuropejskiej. Jest tworem hybrydycznym, zmieniającym się na przestrzeni historii wraz z sytuacją, w jakiej znajdują się mocarstwa. Europa Środkowa jest niezawodnym barometrem ciśnienia politycznego w Europie.

Niektóre siły upatrują w Europie Środkowej ważne ogniwo, element harmonizujący, dla innych jest jedynie punktem wyjścia, strategicznym kluczem do panowania nad Europą. Nie bez kozery już Bismarck twierdził, że kto ma Czechy, trzyma w szachu Europę. Z drugiej zaś strony federalna idea Palackiego zekładała humanistyczną misję Europa Środkowej. Wolność miłych narodów miała być gwarencją bezpieczeństwa wielkiej Europy.

4. Słynna wypowiedź Palackiego o Austrii, którą należałoby stworzyć, gdyby jej nie było, musi być rozpatrywana pod kątem polityki ogólnoeuropejskiej. Federacyjny ustrój Europy Środkowej winien zagwarantować Europie trwały pokój. Zreformowana Austria miała funkcjonować jako skuteczny blok nie tylko przeciw Prusom, ale i rosnącej ekspansji Rosji. Austrosławizm nie był zetem wyłącznie przejawem konserwatywnej polityki, jak oceniali go krótkowzroczni patrioci, lecz przeczorną kalkulacją.

W liście z 11.4.1848 roku do tzw. frankfurckiego Vorparlamentu Palacky precyzyjnie wykłada swe poglądy. Wówczas właśnie rodzi się idea Państwa Austriackiego. List ten bez wątplenia należy do najbardziej doniosłych dokumentów polityki czeskiej i europejskiej. Palackiemu wielokrotnie zarzucano nadmierną ostrożność, ale rozwój wydarzeń ostatecznie potwierdził jego słowa. Szczególnie krytycznie odnosił się do Rosji. Jako zagorzały demokrate obawiał się rosnącej potęgi rosyjskiego imperium i nie ulegał patriotycznej iluzji pansławizmu.

Palacky zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa ze strony uniwersalnej monarchii rosyjskiej. Nie ma też najmniejszego znečenja, że byłaby to monarchie słowieńska. Potęgę pozostaje potęgą, czy to obca, czy pobratymcza. Palacky oświadcza z całą stanowczością: "... i już choćby sama idea uniwersalnej monarchii rosyjskiej znajduje w mojej osobie najbardziej zagorzałego przeciwnika i adwersarza, nie dlatego, że miałaby być rosyjską, lecz że byłaby uniwersalną".

W roku 1848 broni federalcyjnej koncepcji kwestii narodowościowej. Odrzuca wszelkie zakusy zwolenników rewolucji i odradza rozbięcie Austrii. Jego trzeźwa liberalna postawa jest całkowitym przeciwieństwem anarchizmu Bakunina.

Palacky nie wierzy w możliwość zachowania suwerenności przez małe państwo, małą republikę. W Europie Środkowej zaś był taki, jego zdemniem, jest szczególnie niepewny. Imperium rosyjskie będzie dążyło do wchłonięcia terenów Słowian Zachodnich. Peleky ostrzega: "Kezda myśl o republice winna być od granic Rzeszy Austriackiej stanowczo odepchnięta. Wyobraźcie sobie Rzeszę Austriacką podzieloną na wiele repu-

blik większych i mniejszych - jakiż to smakowity kąsek dla uniwersalnej monarchii rosyjskiej". I rzeczywiście.

Austria powinna nareszcie zrozumieć swoją dziejową rolę i dać Słowianom wolność. W przeciwnym razie dualizm stanie się wylęgarnią panslawizmu, i to w formie najmniej pożądanej. Takie są konkluzje nowoczesnej "Idei Państwa Austriackiego" z roku 1865, najważniejszej pracy teoretycznej Franciszka Palackiego. Stoanek do Rosji przekształcił się w wynaturzoną miłość, absurdalne uczucie, nieuzasadnioną nadzieję Słowian...

Po II wojnie światowej Europa Środkowa wypadła ze słownictwa politycznego. Żelazna kurtyna całkowicie podzieliła Europę na Zachód i Wschód, do którego włączono także Europę Środkową. Austria cichcem odłączyła się od Europa Środkowej, wiążąc się z Zachodem. Demokratyczna koncepcja starej Europa upadła definitywnie. Polityka europejska wkroczyła na drogę konfrontacji w stopniu, jakiego dotąd nie знаła.

5. Egzystencja narodu czeskiego w środku Europy nie jest sprawą tak całkiem oczywistą. Suwerenności nie może zapewnić sama natura, jak to jest w przypadku wielkich narodów. Czeska egzystencja zawaze wiąże się koniecznością, z określonym racjonalnym aspektem. Dlatego właśnie Palacky trwał przy zachowaniu Austrii, albowiem widział w niej konieczność historyczną, dziejowy kompromis. Racjonalna federalizacja Europy Środkowej ciągle jest rozwiązaniem lepszym od parcelacji.

W roku 1887 podobnie postawił kwestię narodowej egzystencji krytyk i historyk literatury, H.G.Schauer. Jaka jest rola narodu czeskiego w historii? Nie wystarczy powoływać się na historyczne prawa, przypominać przeszłość - trzeba także myśleć o przyszłości. Tożsamość narodową tworzy tradycja, związek między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Egzystencja zawsze definiuje rolę, przesłanie, racja wewnętrzne, ducha narodu. Schauer ma pewne wątpliwości, dlatego słusznie zapytuje: "Czy naród czeski istnieje tu po to, by jak osamotniona pionowie puścić pąki, rozkwitnąć, po czym zwiędnąć, czy też by pośredniczyć swemu otoczeniu, np. być łącznikiem między romańsko-germańskim Zachodem a słowiańskim Wschodem?". Powyższe pytanie zawiera aluzję do wyjątkowej sytuacji narodu oraz przypomina jego środkowoeuropejski los. Jesteśmy kuriozum w sercu Europy, stanem przejściowym czy też niepodległym bytem wśród pozostałych narodów? Na co się zdecydować, jaką wybrać konieczność?

Schauer mnoży pytania w kwestii narodu: "Czy jest powołany, by wdać z siebie własną, nową kulturę, absolutnie nowe źródło ciepła i światła? Lecz czy siły nasze są po temu wystarczające? /.../".

Schauer powiada, że pytań jest więcej i każde rodzi kolejne pytania. Jedno wszak jest aktualne także dzisiaj, a brzmi ono: jaki jest nasz byt narodowy? Sam Schauer nie wierzy w wyłączną siłę sprawczą natury, w oczywistość istnienia pięciu milionów mówiących po czesku ludzi. Przecież wynarodowienie nie jest bezpodstawną obawą. Możemy zostać zniemczeni, jak też definitywnie zeslawizowani (= zrusyfikowani). Taka odpowiedź narzuca się sama. Zmiana nie musi dokonać się przy użyciu przemocy, wystarczy by nastąpił wewnętrzny uwiad sił.

Dla Schauera życie samo w sobie nie było wystarczającym argumentem. Najwyższą wartość przedstawiała kultura, podług której oceniał naród. Tylko naród wykazujący się kulturą ma rację istnienia. Jest to pogląd charakterystyczny dla epoki, bliski filozofii romantycznej, ale w Czechach już wyłącznie tradycyjny. Polityka i kultura zachodzą na siebie. Kultura jest polityką małego narodu, poprzez kulturę uzasadnia on swój byt i daje dowody swego istnienia.

6. Dokładniejszy opis atmosfery Europy Środkowej podaje nam historia, polityka, ale także kultura, tak samo zresztą skomplikowana. Kultura Europy Środkowej opiera się na częstokroć skrajnych konfrontacjach, ma struktu-

rę labiryntu. Wielopłaszczyznowej bryły nie da się ogarnąć jednym spojrzeniem. Wyodrębnienie dorobku poszczególnych krajów wnosi do oceny niebezpieczny nacjonalizm, dlatego znacznie lepiej jest wyznaczyć kulturę środkowoeuropejską poprzez jej centra kulturalne.

Na zachodzie granicę wytycza Monachium i mniejsza, czy jest to fakt pozytywny, czy negatywny. Na górze Drezno, jako drugie z miast niemieckich. Pozostałość po dawnej monarchii austro-węgierskiej reprezentują: Wiedeń, Budapeszt, a także Kraków. Należy pamiętać, że i żydowski Lwów należy do Europy Środkowej. Wewnątrz leży jeszcze Bratysława, Brno i wreszcie Praga, jako idealne centrum przestrzeni środkowoeuropejskiej.

Poglądy na wytyczenie śródlądowego kontynentu mogą być różne, w każdym bądź razie nie da się wykluczyć pewnych paradoksów. Wyznaczenie kulturalnych granic strefy środkowoeuropejskiej musi być zdecydowanie bardziej tolerancyjne aniżeli w aspekcie politycznym. Przykładowo - nie istnieje dziś Europa Środkowa jako taka, jednakże nie przestała istnieć jako pojęcie kulturowe, nawet po podziału Europy na Wschód i Zachód. Środkowoeuropejski Benelux jest współcześnie utopią, lecz kultura Europy Środkowej to fakt, który należy ponownie przywołać.

Atmosferę Europy Środkowej zdecydowanie najlepiej oddała literatura. Sztuki plastyczne i muzyka mają swe problemy uniwersalne, abstrakcyjne, "ogólnościawowe", słowo wszak musi być świadectwem tego, co "tu i teraz" i nigdzie indziej. Im mniej fantazji, tym lepiej. Do typowo środkowoeuropejskich autorów należy Niemcowa, Neruda, Stifter, Nestroy, Klima, Meml, Mayrink, Kafka, Werfel, Musil, Kraus, Kisch, Haszek, Roth, Kästner, Schulz, Czapek, Polaczek, Horvath, Kosztolanyi, Hrabal, Kundera, Orkenyi...

Trudno powiedzieć jednym zdaniem, co właściwie łączy autorów literatury środkowoeuropejskiej. Wszyscy jednak są szczególnie wyculeni na powszednią absurdalność ciasnego gorsetu Europy Środkowej. Nie jest im obca codzienność. Niktórzy moralizują, inni śmieją się, ale powód jest wspólny. Melancholijna groteska jest idealną formą literatury środkowoeuropejskiej. Wszyscy autorzy reprezentują humanizm małego człowieka, śmieszna prawdę, humanizm Europy Środkowej.

7. W gęstej przedwojennej atmosferze, mniej więcej około roku 1910 zrodził się ekspresjonizm środkowoeuropejski, fenomen nie tylko kulturalny, lecz i socjologiczny. W zasadzie do dzisiaj nie wiemy, co to takiego było, jakie mu wytyczyć ramy, kiedy zaczął się i kiedy skończył, jaki miał program, którzy z autorów się pod nim podpisywali. Kłopotliwe jest też definiowanie ekspresjonizmu wyłącznie przez pryzmat nurtu poetyckiego /szerzej: literackiego/ lub w obrębie sztuk plastycznych, był bowiem raczej zjawiskiem naturalnym czy też społecznym, emanacją ducha, rewolucją kulturalną, niespodziewanym wtargnięciem żywiołów do stosunków środkowoeuropejskich. Ludzie zaczęli odczuwać pod nogami niebezpieczeństwo - czyli historię.

Z gęstej atmosfery, z obaw, nastroju przyciębiającego napięcia, kateatoficznych prognoz oraz z desperackiej ucieczki w nieakrapowaną zabawę zrodzili się także dwaj geniusze Europy Środkowej - Franz Kafka i Jarosław Haszek. Żaden nie jest typowym ekspresjonistą, lecz trudno sobie ich wyobrazić bez ekspresjonistycznego kontekstu. Ich twórczość uoabia podstawowe sprzeczności i postawy. Kafka i Haszek są wzorcowym przeciwieństwem egzystencji środkowoeuropejskiej, to jest odwrotnego konfliktu między moralizmem a anegdotą. Owa śmieszna prawda nie jest bowiem niczym innym jak punktem przecięcia melancholii i groteski.

Ekspresjonizm środkowoeuropejski ma inny charakter aniżeli niemiecki: posiada o wiele bardziej złożoną strukturę wewnętrzną, nie jest tak egzaltowany, w większym atonpiu interesuje się detalem, częściej kierując swą uwagę na drobiazgi z życia niżli na wielkie i wzniosłe idee. Ekspresjonizm zwiężle antycypuje cały XX wiek, z ekspresjonizmu

wyłonia się tak przeciwstawne tendencje, jak dadaizm i egzystencjalizm. A zatem nawet konfrontacja Haszka z Kafką nie jest efektywna i przypadkowa - są to dwie konsekwentnie realizowane alternatywy owych czasów.

Jeszcze przed I wojną światową, kiedy Kafka zaczyna pisać pierwsze atrony "Procestu", w praskich gospodach krążą szwejkowskie historyjki. Tych parę przedwojennych lat jest dla Europy Środkowej złotym wiekiem. Tych zaczyna się już od secesji, a jego szczytem będą narodziny sztuki nowoczesnej. Niespodziewanie zjawia się plejada pisarzy autentycznie światowej rangi - chyba nie ma potrzeby ich tu wymieniać. I jeszcze jako pokłosie wojennej pożogi powstaną dzieła wyjątkowe, rozślawiające banalną mentalność środkowoeuropejską.

Ekspresjonizm środkowoeuropejski można bez przesady porównać jedynie z odrodzeniem narodowym. Różnica polega wszak na tym, że odrodzenie przyszło wyłącznie na fali ideologii narodowej, patriotycznej, natomiast ekspresjonizm środkowoeuropejski był nurtem wielonarodowościowym, przejawem europejskości i humanizmu. Ani Haszek, ani Kafka nie byli nacjonalistami, brak na to choćby jednego dowodu.

8. Aż do I wojny światowej komunikacja między ważniejszymi miastami Europy Środkowej była czymś absolutnie normalnym. Kiedy dandys Artur Breisky ruszał z Podmokel w świat, musiał się dobrze zastanowić, dokąd pojedzie - do Drezn czy Pragi? Obie rezydencje kusily jednakowo i taki sam był do nich dostęp. Europa Środkowa była podówczas jednym wielkim skrzyżowaniem. Dla nas taka komunikacja jest dziś właściwie niewyobrażalna.

Odzwierciedleniem tych wszystkich pogmatwanych stosunków jest ponownie literatura. Dozsz Kosztolanyi wymienia porucznika strzelców alpejskich, Wernera, który w ciągu czteroletniego stacjonowania w Sárszeg nie nauczył się węgierskiego. Mówił wyłącznie po niemiecku, ale... nie był Niemcem - był Morawianinem! Dawno zapomniał ojczyznojęzyka, po pijanemu zaś nawet nie pamiętał, jak mówi się po niemiecku.

Przedwojenna Europa Środkowa to mały-wielki Babilon, gdzie mieszały się języki, ludzie, idee... Oprócz państwowej niemczyzny używany był czeski, węgierski, polski oraz Jidysz. Swój własny język miała każda klasa społeczna czy nawet grupa mieszkańców. Życie na każdym kroku ujawnia nieprzebraną ilość detali. Był społeczny pazeń jest zakrętów i pułapek. W delcie środkowoeuropejskiej istnieją obok siebie wartkie prądy i niezmaczone zatoki z relatywnym spokojem i nudą. Rygorystyczny purytanizm językowy Kafki jest typowy w tym samym stopniu co polimorficzny styl Haszka.

W monarchii dunajskiej doszło do specyficznej mutacji społecznej, której następstwem był typowy byt austro-węgierski. Nie chodzi tu bynajmniej tylko o rodziny mieszane, lecz o codzienny wpływ jednej narodowości na drugą, kształtowanie charakteru środkowoeuropejskiego. Zaczęło powstawać coś nowego, ale rozwój ten przeważyła I wojna światowa. Podobnie jak krystalizował się nacjonalizm, na przeciwnym biegunie rodziła się nowa świadomość.

Wszelkie problemy mutacji odczuł wyraźnie na własnej skórze dramaturg Odön von Horvath. W jego żyłach krążyła krew węgierska, chorwacka, czeska oraz niemiecka. Oznaczał sam siebie jako "eine typische altösterreichisch-ungarische Mischung". Czterokrotnie w wieku szkolnym zmieniał język wykładowy i niemal każdą klasę kończył w innym mieście. Jego ojciec był wysokiej rangi urzędnikiem państwowym, zatem stosując się do służbowych poleceń rodzina musiała przenosić się z miejsca na miejsce. W rezultacie Horvath nie opanował dokładnie żadnego języka, chociaż znał wszystkie. Do paradoksalnej sytuacji doszło podczas pobytu w Niemczech. Aczkolwiek niemczyzna była jego językiem ojczystym, nie mógł czytać gazet, ponieważ drukowano je tradycyjną szwabachą.

Rozpad Austro-Węgier stanowił dla generacji przyszłych Środkowoeuropejczyków ciężki szok psychiczny. Z urazu środkowoeuropejskiego, z za-

niku jednej cywilizacji zrodziła się wielka literatura środkowoeuropejska. Uczucie niepowetowanej straty przebija z twórczości Hörvatha, podobnie jak i Rotha, Kafki, Muaila czy Schulza. Właściwie Żydzi uświadomili sobie wyraźnie, że moment ten jest początkiem chaosu i wielkich cierpień.

9. "Dla zbawienia Europa Wiedeń nie może upaść do roli prowincjonalnego miasta" - apeluje Franciszek Palacký w słynnym liście adresowanym do Frankfurtu. Niestety, Austria nie zrozumiała swej historycznej misji i nie uczyniła zadość ambicjom Słowian. Trójjedyna monarchia została złożona na cmentarzu utopii oraz iluzji. Po I wojnie światowej Austria utraciła swe najbogatsze terytoria, bez których silne centrum było niemożliwe. W ciągu nocy Wiedeń stał się miastem historii, minionej sławy, dawnego blasku. Europa utraciła więcej aniżeli jedną metropolię, utraciła ważny ośrodek stabilizacji politycznej.

W latach trzydziestych do zagadnienia historycznej misji monarchii austro-węgierskiej powraca piarż Józef Roth. Zwłaszcza powieść "Krypta kapucynów" zawiera szereg refleksji o historycznym nieporozumieniu. Roth jest nie tylko wysmienitym gawędziarzem, lecz i znakomitym analitykiem stosunków. Problemy postaci powieściowych są skądinąd także jego problemami - urodził się przecież w Galicji, studiował we Lwowie, żył i pisał w Wiedniu. Pierwszym ciosem była dlań I wojna światowa, drugim triumf faszyzmu. Wychodząca bez ojczyzny umiera 27.05.1939 roku w paryskim szpitalu dla ubogich.

Austria zmarnowała niepowtarzalną historyczną szansę, nie zrozumiała sama siebie. Roth porównał Wiedeń do skrzącego się pajaka, wysysającego życiodajne soki z potężnej czarno-żółtej sieci rozpostartej nad krajami koronnymi. Światło stołecznego grodu lśni dzięki pozostawionym. Niedowzajemniona, wzgardzona miłość powoduje nawarstwianie się problemów, które znajdują ujście w nacjonalistycznych namiętnościach, gorszących waśniach między narodami. "Cyganie z puszy, podkarpaccy Huculi, żydowscy doróżkarze z Galicji, a nawet moi krewni, słowiańscy maroniarze z Sipołja, ponadto szwabscy plantatorzy tytoniu z Baczki, hodowcy koni ze atepów, mużułmańscy kowale srebrnych filigranów z Bośni i Hercegowiny, handlarze koni z Moraw, tkacze z Gór Kruszcowych, młynarze podolscy - oto wielkoduszni żywiciela Austrii. Im który biedniejszy był, tym wialkoduszniejszy. Wiele cierpień, wiele dobrowolnych ofiar złożyło się na to, aby stolica monarchii mogła błyszczeć w świecie, jako siedziba gracji, wesołości i geniuszu." *)

Główną przyczyną antagonizmów upatruje Roth w agresywnej ideologii Niemiec, traktujących Austrię jako część rzeszy wielkoniemieckiej. Małe narody, koczownicy Europy Środkowej i jej osamotnionej egzystencji nie są zainteresowani w rozbiści Austrii. Hrabia Chojnicki wygłasza przestrozę: "Oczywiście, że tylko Słoweńcy oraz galicyjscy Polacy i Rusini, tylko chałaziarze z Borysławia i handlarze koni z Baczki, tylko mużułmanie z Sarajewa i sprzedawcy pieczonych kasztanów śpiewają jeszcze "Boże wspieraj". Bo niemieccy studenci z Brna i Chebu, dentyści, aptekarze, czeladnicy fryzjerscy i artyści-fotografowie z Linzu, Grazu i Knittelfeldu, wszyscy ci wolvowaci Alpejczycy - śpiewają "Wacht am Rhein". Zobaczycie, moi panowie, że ta wierność Nibelungów zgubi Austrię! Istotę Austrii stanowią jej peryferie, a nie centrum. Nie znajdziecie Austrii w Alpach! Tam znajdują się konie, szarotki i krokusy, lecz ani śladu podwójnego orła. Substancję Austrii żywią i zasilają jedynie kraje koronne!"

Kiedy po wojnie wszystko stało się jasne, spodziewana jest zaś druga, zrozpaczony Chojnicki wykrzykuje: "Zamykaliście oczy, kiedy te matolki niemieckie i niemiaszki sudeckie, kiedy te kretyńskie Nibelungi

*) J. Roth, Krypta kapucynów. Przekład Józefa Wittlina /kolejne dwa cytaty w tym samym przekładzie / - przyp. tłum.

obrażały i lżyły nasze ludy. Aż te ludy zniemawidziły w końcu monar-
chię i zaczęły ją zdradzać. Nie Czaśi, nie Serbowie, nie Polacy, nie
Rusini ją zdradzili, lecz Niemcy, ta narodowość państwowa". Roth był
świadckiem nie tylko zaniku Austrii, ale też końca Europy. Kiedy umiera,
jest już po anchlussie Austrii i zajęciu Czechosłowacji, trwają przy-
gotowania do agresji na Polskę.

10. Z zewnątrz jawiła się Austria jako wspaniała operetka, papier-maché,
farsa, jednak wewnątrz pracował doskonale mechanizm zegara. Z kontra-
stów rewersu i awersu, fasady i tyłów wytryska fajerwerk metafor Bruno-
na Schulza: "Wiele przemawia za tym, że Franciszek Józef I był w grun-
cie rzeczy potężnym i smutnym damiurgiem. Jego oczy wąskie, tępe jak
guziczki, siedzące w trójkątnych deltach zmarszczek, nie były oczyma
człowieka. Twarz jego uwłósona białymi jak mleko, w tył czasanymi
bokobrodami, jak u japońskich demonów, była twarzą starego, osowiałego
lisa. Z daleka, z wysokości terasy Schönbrunn, twarz ta dzięki pewne-
mu układowi zmarszczek zdawała się uśmiechać. Z bliska ten uśmiech de-
maskował się jako grymas goryczy i przyziemnej rzeczowości nie rozjaś-
nionej błyskiem żadnej idei. W chwili gdy pojawił się na widowni świa-
ta w generalskim zielonym pióropuszu, w turkusowym płaszczu do ziemi,
lekkó zgarbiony i salutujący, świat doszedł był w swym rozwoju do ja-
kiejsz szczęśliwej granicy. Formy wszystkie, wyczerpawszy swą treść w
nieskończonych metamorfozach, wisiały już luźno na rzeczach, na wpół
złuszczone, gotowe do strącenia. Świat przepoczwarzał się gwałtownie,
wylęgał się w młodych, szczebiotliwych i niesłychanych kolorach, roz-
wiązywał się szczęśliwie na wszystkich węzłach i przegubach. Mało brak-
owało, a mapa świata, ta płachta pełna łąt i kolorów, byłaby, falując,
pełna natchnienia uleciała w powietrze. Franciszek Józef I odczuł to
jako osobiste niebezpieczeństwo. Jego żywiołem był świat ujęty w regu-
lamin prozy, w pragmatykę nudy. Duch kancelaryj i cyrkułów był jego du-
chem. I rzecz dziwna. Ten starzec oschły i stępiejący, nie posiadający
nic ujmującego w swej istocie, zdołał przeciagnąć wielką część kreatu-
ry na swoją stronę. Wszyscy lojalni i przewidyjący ojcowie rodzin uczu-
li się wraz z nim zagrożeni i odetchnęli z ulgą, gdy potężny ten demon
położył się swym ciężarem na rzeczach i zahamował wzlot świata. Fran-
ciszek Józef I pokartkował świat na rubryki, uregulował jego bieg przy
pomocy patentów, ujął go w karby proceduralne i zabezpieczył przed wy-
kolejeniem w nieprzewidziane, awanturnicze i zgoła nieobliczalne".*)

Taka zatem była Austria. Jedynie silny aparat biurokratyczny mógł
utrzymać na wodzy tyle odmiennych narodowości. Biurokracja stanowiła
wewnętrzne zagrożenie wielonarodowościowej monarchii. Doskonale funk-
cjonujący młyn urzędniczej maszyny potrafił zetrzeć w pył każdą ory-
ginalną myśl. Mało spontaniczny, ale sumienny urzędnik stał się wzorem
idealnego obywatela. Każdy listonosz czy trafikant był cesarskim urzęd-
nikiem. W każdym Środkowoeuropejczyku przetrwało do dziś coś z owej
roztropnej lojalności, każdy jest naznaczony kompromisem małego czło-
wieka z aparatem władzy i biurokacją. Mentalność środkowoeuropejska
nie jest żywiołem istnienia, lecz ostrożnym postępowaniem z urzędami.

Każdy jest dobrym patriotą, ale w granicach rozsądku. Wszyscy są po-
słuszni, ale nikt nie słucha. Cecha roztropnej lojalności przekazywana
jest z pokolenia na pokolenie. W Czechach ostrożności nigdy nie za wiele,
ostrożność jest matką czeskiej mądrości. Od roku 1871 czeska poli-
tyka stosuje taktykę biernego oporu. Jej początków należałoby upatry-
wać już u Palackiego. Haszkowska Partia Umiarkowanego Postępu w Grani-
cach Prawa nie jest niczym innym, jak konsekwentną parodią tradycyjne-
go biernego oporu. Przyczyna ostrożności zniknęła, została tylko cze-
ska ostrożność.

*) B.Schulz, Sanatorium Pod Klepsydrą

11. Austro-węgierski kompromis obywatela z państwem wkroczył do świadomości zbiorowej. Kafkowski Józef K. reprezentował przypuszczalnia ostatnie stadium kariery urzędniczej. Józef K. ma jeszcze starej daty cechy urzędnicze, przyzwyczajenia, spoaób myślenia, określoną etykę biurokratyczną. Z chwilą jego śmierci w strahowskim kamieniołomie kończy się era urzędników, a zaczyna era działaczy. W aspekcie psychologicznym i moralnym utrata urzędniczego charakteru oznacza regres. Lojalność zaczyna przeżywać głęboki kryzys. Dowody rozpadu i zaniku wielkiej ery urzędniczej znaleźlibyśmy także u Werfla, Musila czy Rotha.

Struktura władzy związana jest z najbardziej niepozorną funkcją. Pamiętajmy, że w XIX wieku urzędnikiem jest nie tylko rządca zamku, lecz i stróż nocny. Także w naszych czasach pierwszy azzczebel znajdują się gdzieś nisko, u blokowego męża zaufania. Wszyscy oni pozostają w kontakcie z urzędami, mają świadomość urzędnika lub działacza. Urzędnik siedzący w biurze jest już wykrystalizowaną formą władzy, ucieleśnieniem ogólnego pojęcia. Któż zatem w Czechach nie jest urzędnikiem, któż nie pełni przynajmniej małej funkcji?

Miarą wolności w biurokracji jest urzędnik jako żywa istota. Jeśli zacznie działać zgodnie z własnymi przekonaniem, oznacza to początek końca biurokracji. Już Nestroy w farsie o Pikutkowie powiada: "Wszyscy już teraz bajają o prawach człowieka, a podrzędny urzędnicyzna potrafi nawet okoniem stanąć kiedy uzna, że mu się dzieje krzywda". Zupełnie jakby te słowa napisał ktoś ze współczesnych, a nie świadek roku 1848. Myślący działacz to początek kryzysu panującego systemu. Reformista zawsze jest gorszy od reakcjonisty.

12. Jak widać, historia Europa Środkowej nie jest bynajmniej prosta. Jej udziałem jest ciągły kryzys, nieuatanne rozdrabnianie, rozpad całości, dzielenie struktury, kult datalu. Niekiedy ingerencje zewnętrzne są tak silne, że zagrażają wprost egzystencji narodów zajmujących tę zamkniętą przestrzeń. Wszystkie deformacje rzutuują, rzecz jasna, na ludzkie charaktery. Nic dziwnego zatem, iż częstym rezultatem są małe stosunki, życie bez idei i patosu.

Dla Środkowoeuropejczyka historia to przede wszystkim suma gorzkich doświadczeń. Wewnętrzne animozje i nieporozumienia także nie są dlań rzadkością. Historia przypomina najbardziej nieproszonego gościa, wdzierającego się w prywatność intruza. Człowiek Europy Środkowej chce mieć wreszcie spokój, lecz zabierają mu go siły wyższe. Trwałe sympatie do apolitycznego biedermeiera nia są wyłącznie przejawem drobno-mieszczanstwa. Prywatność pozostaje jedyną autonomią egzystencji, umiejscowieniem ludzkiej wolności. Pilny czytelnik w fotelu to od dawnien dawna gorący czeski patriota, humanista, Europa. Biedermeier Europy Środkowej jest instynktowną obroną człowieka, który w kącie pokoju chowa się przed obcą mu historią.

Historia środkowoeuropejska jest powodem do płaczu, najlepszym razie do anegdoty. Życie broni się moralizmem, ale też humorem, ironią, satyrą. Przez Europę Środkową przewala się historia, ale mieszkańcowi Pragi lub Budapesztu jest to serdecznie obojętne. Siedzi w domu i myśli swoje. Wieczorami jeden czyta poważne rozprawy o naprawie świata, drugi natomiast wysiaduje w knajpie i dowiepukuje. Obaj urodzili się w tych stronach, żyją w tym samym mieście. Albowiem anegdota bez moralizmu jest niemożliwa.

W Europie Środkowej nie iatnieje ciągłość historii. Ta ulega wciąż rozpadowi, epoka i człowiek nie mają czasu na osiągnięcie pełnej dojrzałości. Nie jest to wyłącznie sprawa ingerencji zewnętrznych naruszających historyczną całość, ponieważ także wewnątrz zachodzi proces entropii, powolny rozpad świadomości historycznej, wietrzenie niespiesznej rzeczywistości. Materia historyczna ulega korozji wawnętrznej i zewnętrznej. Życie codzienne oddala się od planu historycznego, ograni-

czając się do prywatności, do małego kręgu ludzi.

Nurty historii omywają Europę Środkową, lecz nie dotyczą jej. Kontynent Europy Środkowej żyje własnym życiem tworząc odrębny świat, śród-kowoeuropejskie getto. Treścią życia Środkowoeuropejczyka stała się codzienność, powszedni żywot wyrzucony poza nawias historii. Mała stosunki są dużymi stosunkami getta. Drobiazgi z życia, epizody zastępują tu wielką historię.

13. Sytuacja czeska jest losem par excellence śród-kowoeuropejskim. Jesteśmy krajem, który zawsze miał kłopoty z historią. Muaieliśmy ją odkrywać, bronić i tworzyć. Przykładem tradycja - musi być ona niustannie odnawiana, często racjonalnie konstruowana. Nie oddziaływa tu siła bezwładu, lecz konieczność współzależności i wspólnoty. Palacky spisał historię narodu czeskiego, lecz co więcej: przypomniał ją narodowi. Podobnie Masaryk, aby bronić narodzin nowego państwa musiał nadać historii koncepcję. Historiozofia Masaryka poszukuje wewnętrznego sensu moralnego, logiki rozwoju.

Mały czeski człowiek jest produktem nie tyle rasy, co "historii". Mentalność czeska stworzyła nie tyle natura, co rozwój społeczny i epoka. Anatomia narodowego charakteru jest raczej sprawą psychologii społecznej niż antropologii. Mały czeski człowiek to statysta historii europejskiej. Czeskie poletko nie stworzyło czeskiego charakteru intelektualisty czy opowiadacza anegdot - jeat to zasługa historii Europy. Należy z całą powagą podejrzewać, że przypisujemy naturze psychologię społeczną, chociaż jej nie ma. Ani knedliczki, ani piwo, ani nieobecność morską żywność nie wyjaśni egzystencji śród-kowoeuropejskiej. Uczynić to może wyłącznie historia.

Rozmałość struktury psychicznej w dużym stopniu utrudnia klasyfikację cech ludzkich. Uporządkowanie świata subiektywnych namiętności jest w zasadzie niemożliwe. Sformalizowanie takie narzuca się natomiast w obrębie psychologii społecznej. Jednostka społeczna wymaga zawsze określonego schematu, zaostżenia profilu.

Mały czeski człowiek z płaskostopiem, Środkowoeuropejczyk duszą i ciałem nie jest abstrakcją, lecz faktem. Mały czeski człowiek w życiu prywatnym może być nawet wielki, ale jako istota społeczna pozostaje mały. Każdy ma swój społeczny kontur, swój cień. Cechy czeskie zalegają głęboko w genach zbiorowych, jedno pokolenie przekazuje je drugiemu. Przyzwyczajenie, jak wiadomo, jest drugą naturą.

14. Historii nie da się zataić nawet tam, gdzie nie istnieje, bądź istnieje w zdeformowanej postaci. Małym stosunkom odpowiada skarłała historia - i na odwrót. Czeski charakter jest wynikiem historii, tyle że historii rozpadającej się. Można powiedzieć, że czeskość to brak historyzmu. Dla intelektualisty jest to początek duchowej rozterki, poszukiwania sensu istnienia. Typ ludowy reaguje inaczej: historię zastępuje historyjką. Z absurdalnej sytuacji historii bez historii rodzi się typowy ludowy zmysł anegdotyczny.

Rozpad formy historycznej wzmacnia znaczenie codzienności. Każdy kraj ma swoją codzienność, ale codzienność Europy Środkowej istotnie różni się od obywatelskiej codzienności Zachodu. I tak na przykład Czech nie czuje się obywatelem, jego codzienność nie jest cywilna, obywatelska, lecz banalna, spowszedniała, zwichnięta. Czechowi brakuje świadomości obywatelskiej, ma za to wyostrzone wyczucie groteskowych detali z życia, humoru oraz plebejskiego cwaniactwa. Prawda życia jest obnażona aż do bezsensu istnienia, dysproporcje paradoksu skrzają się dowiecipem.

Powszednia, banalna, zwyczajna, anegdotyczna codzienność wypełnia luki historyczne, wielkie pauzy a także owe małe, wąskie szczeliny. Psychologia społeczna wchłania wszystkie atrybuty rozpadu, formuje się jako charakter. Mały czeski człowiek nie rodzi się w ciągu jednej nocy,

tworzy go długotrwały proces. Stojąca przed nami jednostka socjologiczna jest przeciętnym, anegdotycznym typem. Jego humor nie ma siły krytycznego gestu, nie jest to czysta ironia, a tylko jędrne, ludowe dowcipkowanie. Czeski humor nie jest właściwością subiektywną, lecz zespolowym medium, gdzie jest pole do popisu dla pośrednika, przekaznika, bystrego komentatora sytuacji, ale nie dla autora. Za małego czeskiego człowieka pracuje jego drugi wielki mózg.

Ponieważ czeska codzienność nie jest obywatelska, mały czeski człowiek nie jest także obywatelskim reprezentantem ludu. Czeska natura jest w równym stopniu społeczna, jak i aspołeczna. Słowiańska "azeroka dusza" nie zastąpi świadomości obywatelskiej, "lud" jest romantycznym frazesem. W Czechach istnieje wiele anegdot politycznych, brak jest natomiast jakichkolwiek opinii publicznej. Człowiek poza nawiasem historii jest roztrzęsionym lojalnym, jego uległość graniczy z rezerwą. Lojalność jest możliwa tylko tam, gdzie przez życie obywatelskie przebiega historia. Wszyscy zaś wiemy, jak to u nas z historią było i jest teraz. Dobra czeka dusza udaje subordynację, boi się, ale jednocześnie myśli po swojemu. Mały czeski człowiek jest społeczną marionetką bez konstruktywnego kontekstu społecznego. Jest to potoczny, masowo występujący typ, który nie stworzy jakiejś szczególnej klasy społecznej. Mały czeski człowiek jest czeską maskotką. Kukiełka ta zjawia się natychmiast w każdej sytuacji wymagającej tradycyjnego kompromisu, uniku, wycofania na rozwój wypadków. A to wymaga spokoju, jakżeby inaczej!

15 Wytykanie Europie Środkowej prowincjonalizmu byłoby poważnym nieporozumieniem. Nie brakuje tu zręcznych rąk, mądrych głów, poczucia wartości, otwarcia na sztukę, a jednak marnieje to, co pozostawiono własnemu losowi poza nawiasem historii. Nawet geniusz jest naznaczony kompromisem z rzeczywistością. Problem zatem nie polega na braku kultury, barbarzyństwie, niskiej cywilizacji - chodzi o coś zupełnie innego.

Europie Środkowej brakuje prawa do własnej historii. Kiedykolwiek nadarzyła się ku temu okazja, zawsze zgłaszała akcea do tradycji europejskiej jako równorzędny partner. Pozory mylą. Cudzoziemcy przyjeżdżający do Pragi lub Budapesztu są zaskoczeni europejskim stylem. Szczególnie dużym zaskoczeniem jest rozmowa z intelektualistą. Cudzoziamec spodziewa się spotkania z prowincjonalnymi kompleksami, tuzinkowymi zwyczajami, drugorzędną kulturą... Rzeczywistość jest jednak całkiem inna, a przede wszystkim bardziej złożona.

Historia nadaje czasowi rytm i tego właśnie brakuje ospałej, zakurzonej, gnuśnej Europie Środkowej, jej małym stosunkom. Codzienność jest panem sytuacji. Brakuje naturalnego ruchu, historycznego tempa wydarzeń. Życie stanęło w miejscu i człowiek musi brodzić w wodzie, by nie utopić się w bezbrzeżnej nudzie.

Ahistoryczność to nie to samo co brak historii. Rozpatrując problem Europy Środkowej nie wolno nam sprowadzić go do takiej wizji: pomiędzy dwa wielkie historyczne tryby Zachodu i Wschodu dostało się obce ciało. Należy raczej powiedzieć, że środkowoeuropejska ahistoryczność znajduje się pomiędzy zachodnią historią a wschodnim brakiem historii, między dynamiczną a statyczną osią dziejów. Od Zachodu na Wschód historii jak gdyby ubywa, przechodzi ona w nieruchomą azjatycką wieczność. Kiedy Robert Musil przedstawia małe morawskie miasteczko /Hranice/ jako małą stacyjkę na szlaku wiodącym do Rosji, jak gdyby określał w ten sposób historyczną perspektywę Europy. Miasteczko nie ma nawet nazwy, jedynie inicjał W. Jakże często w rosyjskich powieściach spotykamy się z takim oznaczeniem. Pisarz oznajmia nam po prostu, że rzecz dzieje się w mieście N. w guberni n-skiej. W aspekcie historycznej wieczności uniwersalne oznaczenie miejsca jest sprawą zupełnie oczywistą.

16. Spojrzenie z Zachodu na Wschód jest przygnębiające. Logika zachodnia załamuje się, w polu widzenia zjawiają się absurdalne detale. Musilowski opis spłaszczony horyzontu Europy Środkowej wywołuje groteskowe wrażenie: "Już to za sprawą owych smutnych kolorów, już to za sprawą błędnego, bezsilnego, oszabionego przez parę blasku popołudniowego słońca w przedmiotach i ludziach było coś obojętnego, martwego, mechanicznego, jakby wzięto ich ze sceny teatru lalek. Od czasu do czasu, w regularnych odstępach wychodził ze swego biura zawiadowca stacji, zawsze tym samym ruchem zadzierał głowę patrząc ponad długim torem na budkę sygnalisty, który ciągle nie dawał znaku, że nadjeżdża pociąg, bo ten złapał na granicy duże opóźnienie; potem zawsze tym samym ruchem wyciągał kieszonkowy zegarek i pokiwawszy głową zniknął, tak jak wchodził i wychodził figurki w starych orlojach, kiedy bije pełna godzina".

Obraz u Musila jest ewidentnie dwuwymiarowy, brakuje mu odcieni, subtelnych zmian, zróżnicowania wartości. Całość oddziałuje płasko, drętwą, apatycznie, jednym słowem - groteskowo. Tło morawskiego pejzażu jest dla Musila tak rozmyte, że interpretatorzy jego twórczości uznali je za nieistotne. Zapewne nie ponosi tu winy wyłącznie równinny pejzaż morawski, bowiem i on ma swój urok. Musilowski pejzaż jest raczej stylizowaną literacką scenarią podporządkowaną się tokowi narracji. Pejzaż jest nudny, ponieważ egzystencjonalna nuda jest właściwym przedmiotem opisu. Temat literacki podporządkowuje sobie wprost topos, fabuła absorbuje tło.

Musilowska nowela nie jest analizą, lecz refleksją. Zupełnie inaczej wyglądałby opis pejzażu, gdyby kontury postaci były bardziej wyraziste, posiadały jeszcze trzeci, społecznohistoryczny wymiar. U Musila brak zatem oglądu socjologicznego - troskliwie notuje refleksję psychologiczną, ruchy na powierzchni, jednakże jądro pozostaje nietknięte. Nie jest to bynajmniej zarzut, bowiem Musil świadomie podjął się opisu fenomenów psychicznej mikrostruktury środkowoeuropejskiej melancholii, zgłębianie przyczyn nie interesowało go. Ponieważ jednak brak wyjaśnienia jest odczuwalny, ruch podmiotu oddziałuje mechanicznie i groteskowo. Postać literacka porusza się nieuchronnie po łuku fabuły do swego końca. Siłą napędową każdej postaci stanowi jednak nie logika dziejów czy idea wewnętrzna, lecz siła sprężyny zegara. Wydarzenia wypełniają pauzę, mechanika pomaga pokonać nawarstwioną nudę.

Wielokrotnie pisze Musil o beznamiętnym pejzażu, obojętności, ospałości okolicy, mdłej woni domostw... Tamtejszym mieszkańcom przypisują przegłupawą dobroduszość. Wspólnym mianownikiem jest zawsze apatia, oziębiała melancholia, trudno definiowalne uczucie nieuczestnictwa i przegranej. Skąd bierze się owa lokalna psychologia wyobcowania? Jest elementem atmosfery, nikt się przed nią nie potrafi obronić, każdy ją wchłania, wdycha, ponieważ jest na to skazany. Taki fenomen bezużyteczności istnieje naprawdę. Psychologia zadowala się refleksją, ale psychoanaliza powie nam, że chodzi o zbiorową neurozę. Europa Środkowa broni się przed spojrzeniem z zewnątrz ospałością i obojętnością. Przeglupawa dobroduszość morawskiego wieśniaka czy też dobrego wojaka Szwajjka jest sprawdzoną ludową maską.

JÓZEF K.

Przełożył MACIEJ PRAŻAK

/Tekst opublikowany w Przemyśle kwartalniku "Svědectví" nr 63/1981/

LESZEK SZARUGA

RODIN: LA MAIN DE DIEU

Ręka Boska. Niech cię broni
Przed wyrokiem Nicości. Z chaoau
Kształtuje świat. Lepi twarz
Losu. Ugniata oczodoły, w które
Masz zaglądać szukając drogi.

Z prochu, z gliny, z pyłu
Wyłania się ta twarz. Stoisz
Przed lustrem. Bój się Boga.
/W oddali ginia świat/.

PAMIĘĆ, PAMIĘĆ

Czas nie wypłucze tago osadu z wierszy, z pieśni, z kajał:
"Atlantydo, Atlantydo - śpiewają w starych świątyniach -
odpłynęłaś daleko, jesteś tuż obok, Atlantydo, siostró Europy".
Wracam do Atlantydy przez san, wymawiam niezrozumiałe
słowa, płynę pod prąd czasu, umieram. Trwam w śmierci,
która rośnie we mnie jak światło. I już nie pamiętam
zatopionej w bólu Polski, jej ruin, jej ran. Ona jest jak obłok,
który rozwiewa wiatr. Jak dziecinna gra, bez reguł, bez szana.

NIEZNACZNY RUCH GĄSIENICY

Przeszedł w zamyśleniu koło wartowni, machinalnie odsalutował dyżurnemu i przecinając koszarowy dziedziniec skierował się do sztabowego budynku. Miał jeszcze kwadrans czasu - egzaminy z matematyki podchorążych pierwszego roku zaczynały się o siódmej. Wbrew codziennym zwyczajom przyszedł wcześniej, bo chciał przedtem spotkać się z kapitanem Zasadnym, z którym od dawna się przyjaźnił i prosić, aby po trzech godzinach zajęć zechciał go zastąpić. O dziesiątej miał być w tej śródmiejskiej kawiarni. Dziwne to były spotkania, zaprawione podziwem, pretensją i wyrzutami sumienia. A jednak, jak zwsze od kilku już lat, czekał na nie z biciem serca i nie zrezygnowałby z nich za nic bez względu na konsekwencje.

Machinalnie prześliznął się wzrokiem po węźle propagandowym; równomiernie ustawione plansze nawoływały do czujności, obwieszczaly o wiecznej przyjaźni i nienaruszalnym sojuszu ze Związkiem Radzieckim, a ta największa, świeżo wymalowana, przedstawiała grubasa w cylindrze z cygarem w zębach, jak na tle gwiazdzistej amerykańskiej flagi przydepuje butem odzianego w kombinezon robotnika. Przechodził obok tych malowideł dzień w dzień i wciąż od nowa wstyd mieszał się w nim ze złością wobec ich płaskiej agitacyjności.

Za planszami, przed halą remontową, kilku mechaników już przeszło tydzień grzebało w rozbebeszonym silniku jego IS-2; innym razem pewno by się wściekł, że trwa to tak długo, ale dziś głowę zaprzątniętą miał czymś zupełnie innym.

W obszernej sali egzaminacyjnej pachniało mydlinami i olejną farsbą, której resztki stały jeszcze w niedomkniętych puszkach pod oknem. Właśnie przed kilku dniami skończył się remont budynku i wszystko dokoła lśniło czystością. Przy stoliku na podwyższeniu koło tablicy siedział kapitan Zasadny. Zsgiębiony w matematycznych zeszytach zdawał się nie zauważyć wchodzącego.

- Czołem - powiedział Kowalik, podchodząc do stolika. - Dużo knotów do poprawiania?

- Tak sobie. Najgorzej nie jest, ale Pitagorass też nie odkryłem. - Kapitan nie podnosząc głowy, wciąż ze wzrokiem w zeszytach, był wyraźnie nie w sosie; markotny i jskby odmieniony. Ani śludu po jego zwykłej beztróscie, z której znany był wśród całej kadry, a zwłaszcza w kobiecej Organizacji Rodzin Wojskowych, gdzie prym wiodły małżonki wyższych oficerów.

- Co tobie, Czesiek. Chory jesteś?

- Podle się czuję. Chyba gorączka. Trochę tu posiedzę, odpytam swoją grupę, a potem urwę się do lekarza.

- Szkada - westchnął Cyryl - bo właśnie chciałem cię prosić...

- O co?

- Możesz mnie przed dziesiątą zastąpić? Muszę wyskoczyć do missta.

- Coś ważnego? Nie pamiętam, żebyś się kiedykolwiek urywał z zajęć.

- Jak się źle czujesz, to nie ma o czym gadać.

Zasadny chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył: w drzwiach stsnęli pierwsi podchorążowie. Meldowali się po kolei służbiście, a w chwili później rozpoczęły się egzaminy.

Brali właśnie w obroty kolejną grupę, krzyżowały się przy tablicy pytania i odpowiedzi, uwagę trzeba było mieć nspiętą bez chwili przerwy, ani mowy o odskoku myśli, gdy w gwałtownie otwartych drzwiach stanął podoficer dyżurny.

- Obywatelu kapitanie - zwrócił się do Zasadnego, jako do starszego stopniem - z rozkazu komendanta wszyscy podchorążowie mają się natychmiast zameldować w swoich pododdziałach.

- Co się dzieje? - W głosie kapitana było więcej zdziwienia niż gniewu. Nikt dotąd nie przerwał egzaminów, do których komenda Szkoły przykładała tak duże znaczenie. To zdarzyło się po raz pierwszy.

Podoficer nie zdążył odpowiedzieć; odsunął się usłużnie, bo do sali wbiegli polityczny zastępca komendanta, pułkownik Krajańczyk.

- Szybkiej, chłopcy, szybkiej! - przynałagał wychodzących na korytarz zaskoczonych podchorążaków. - Wiecie już chyba - zwrócił się do obu oficerów. Jego wielka głowa, osadzona niemal bez szyi na pękatym tułowie, drgała lekko z wyraźnego przejęcia. - W mieście niespokojnie. Jacyś agenci, nie wiadomo jeszcze skąd nasłani, porwali ze sobą robotników. Zispo, ZNTK, "Stomil", "Komuna Paryska", wszystko wyszło na ulicę i idzie w pochodzie. Całe śródmieście pełne ludzi, ruch zatarasowany. Alarm już zarządzony. Drańska robota. I to właśnie w takim momencie. Przecież kończą się Targi. No, chodźmy. Trzeba się spieszyć.

Wyszli na plac, który nagle ożył. Wszystko co miało w Szkole ręce i nogi stało teraz w karnych szeregach, słuchając tłumaczących coś oficerów politycznych i tych trzech najważniejszych z Informacji. Cyryl znał dobrze każdego z nich, a z tym najstarszym, majorem Sinko, który tak śpiewnie z rosyjska szcigał, był nawet ns ty. Tamten zaproponował mu to któregoś zimowego wieczoru, gdy tego popili w kssynie. A okazją była kolejna nagroda, którą on, Cyryl, uzyskał za strzelanie na szkolnym poligonie. Potem długo w noc miśł poczucie niesmaku. Wszystko to jednak nie miało teraz żadnego znaczenia. Coś wyraźnie groźnego wisiało w powietrzu. Pomyślał z nieoczekiwaną przekorą, że przez te lata, które spędził w Szkole, ci z Informacją, choć maglowali go nieraz całymi godzinami i tak wszystkiego o nim nie wiedzieli. A przesłuchiwanie były szczególnie dokładne, nacierali na niego natrętnie ze wszystkich stron, bo przecież po ukończeniu Szkoły miśł w niej pozostać jako instruktor. A jednak przechytrył ich, przechytrył tych wszechwładnych towarzyszy, chociaż wydawało się, że w wyostrożonych przez długi trening ich mózgownicach tkwić muszą nsjtajniejsze sekrety każdego z podwładnych. I to od kołyski, sz po dzień dzisiejszy.

- Poruczniku Kowalik, czy wasz czołg już sprawny? - Oczy pułkownika Krajańczyka patrzyły na niego zza rogowych okularów z troską i sympatią.

- Niestety, obywatelu pułkowniku, wciąż grzebią i grzebią w tym silniku i nic. Zarez pogonię mechaników.

- Zostawcie. Szkoda czasu. Rozejrzyjcie się lepiej za inną maszyną. Byle szybko. Pododdział alarmowy wyjechał już na miasto.

- Tak jest, ale jak skompletować załogę? Wszyscy prywie ns poligonie.

- Sciągnęliśmy dodatkowy batalion piechoty. Zaraz tu będą. Musicie wziąć ludzi od nich.

- Tylko, że oni pewno nie przeszkoleni w broni pancernej. Mogą być kłopoty.

- Wasza w tym głowa, poruczniku, żebyście sobie porsdzili. Jak was znam, to potraficie im wytłumaczyć co mają robić. Aha, nie zapomnijcie pobrać od chemika butlę z gazem łzawiącym. Będzie chyba potrzebna.

Krajańczyk odwrócił się i pospiesznie ruszył naprzeciwko oddziałowi piechoty, który właśnie nierównym marszem wkraczał na teren Szkoły. Cyryl uświadomił sobie, że przecież nie otrzymał właściwie żadnego konkretnego rozkazu: dokąd ma jechać i z jakim zadaniem. Z drugiego końca placu dochodził warcot zapuszczanych silników. Pierwsze czołgi, kierując się ku bremie, wyjeżdżały już na miasto. Najpewniej dla nich właśnie starczyło przeszkolonych załóg, ale co będzie z resztą? Ile ich w ogóle ma wyjechać?

Zameldował się kierowca-mechanik Franek Walkowiak, stary wyga, który z niejednego pieca chleb jadł. Ale teraz i on zdawał się nie rozumieć, co w ogóle jest grene.

- Obywatelu poruczniku, czołg numer 911 gotowy. Możemy ruszać - zameldował cicho, z dziwnym roztargnieniem.

- Poczekaj, zaraz. Trzeba jeszcze dobrać trzech ludzi.

Kątem oka Cyryl zobaczył przed wartownią gazik pułkownika Stankiewicza, komendanta Szkoły; zatrzymywał każdy wyjeżdżający czołg i coś krótko tłumaczył dowódcom. A więc dopiero tam otrzymują zadania. Próbowali zorientować się gdzie jest Zasadny. Zniknął mu z oczu przed chwilą, gdy rozmawiał z pułkownikiem. A chętnie właśnie z nim wyruszyłby we dwa czołgi w to nieznane, tajemnicze i groźne. W tej niecodziennej atmosferze wszystko rozgrywało się szybko i dziwnie nerwowo. Jakby obowiązywały nie precyzyjne rozkazy, do których przywykli na co dzień, ale niezrozumiała dla nikogo improwizacja. Nikt chyba właściwie nie wiedział, co naprawdę dzieje się poza muremi Szkoły.

Trzej młodzi piechurzy, taskając skrzynki z amunicją, stanęli wyczekując przed czołgiem oznaczonym numerem 911, który wolno podjechał na wybetonowany skraj placu. Tych parę ton warczącego żelastwa wzbudzało w nich najwyraźniej respekt graniczący z lękiem.

- Nigdy nie siedzieliście jeszcze w środku, chłopcy? - spytał Cyryl najmniejszego z nich, dzieciaka prawie, o chłopskiej, puciołowatej twarzy.

- Nigdy, obywatelu poruczniku. Na świętego Jana minął dopiero miesiąc, jakżeśmy w wojsku - odpowiedział puciołowaty, który choć najmłodszy, był z całej trójki widać najśmielszy.

- To nic. Nie bójcie się. To tylko tak groźnie wygląda. Najwyżej trochę was wytrzęsie i wszystko. No, właśnie.

Cyryl otworzył wąż, wskoczył pierwszy, za nim niezgrabnie wgramoliła się reszta.

- Kapitana Zasadnego nie widziałeś? - spytał Walkowiaka, który zawsze wiedział wszystko o każdym.

- Poszedł na izbę chorych. Jakieś gwałtowne bóle. Podobno wyrostek... Dokąd, obywatelu poruczniku?

- Pod magazyn chemiczny.

Pobrali szybko butlę gazu łączącego i z metalicznym zgrzytem gąsienic ruszyli ku bramie wyjściowej.

- Ty, Kowalik, smarujesz na most Uniwersytecki. Staniesz przed Komendą Milicji. Jest tam już u nich major Korolewicz od nas. Przekaze ci co masz robić dalej. Ruszaj! - Pułkownik zwyczajowym gestem uniósł kciuk w górę, ale twarz miał chmurną i nieprzeniknącą. I on chyba też nie wiedział zbyt wiele i wykonywał tylko rozkazy otrzymywane skądś wyżej.

Cyryl naciągnął na głowę hełmofon, zlustrował uważnie swoją zaimprovizowaną załogę, która z lękiem w oczach, wodząc spojrzeniem po mrocznym wnętrzu, sztywno kleiła się do siedzeń.

Na Alei Wielkopolskiej, przemierzonej już na pełnych obrotach, nie działo się nic szczególnego. Ruch jsk zwykle panował tutaj niewielki, z rzadka mijani przechodnie przystawali na ich widok i pospiesznie oddalali się w swoją stronę. Dopiero teraz popatrzył na zegarek - dochodziła dziesiąta. Brakowało tylko trzech minut. Ta kawiarnia, w której mieli się spotkać, znajdowała się w samym sercu miasta na Placu Wolności. A ojciec nie spóźniał się nigdy. Był wzorem punktualności. Spróbował sobie wyobrazić, jak przecina plac tym swoim dawnym, elastycznym krokiem, kontrolując równocześnie uważnie czy nie jest śledzony. Ten odruch tkwił w nim od niepamiętnych lat: lekki, niedostrzegalny prawie ruch głowy na boki i za siebie. Takim miał go stale przed oczami, gdy jeszcze za Niemców wychodził z nim, wyrosniętym kilkunastoletkiem, do parku na krótki spacer. Nieczęsto zresztą zdarzała się taka gratka; widywali się właściwie od wielkiego dzwonu, ojciec rzadko w

ogóle nocował z nim i z matką pod wspólnym dachem, po uszy zagrzebany był w konspiracji i w konspiracji pozostał także po Powstaniu, choć cały okaleczały, w ledwo zaleczonych ranach. Ale po tym, jak wyaresztowano wszystkich prawie najbliższych towarzyszy broni, o jakimkolwiek ujawnieniu i o skorzystaniu z amnestii ani słyszeć nie chciał. I znowu nie było domu, tylko stały niepokój i oczekiwanie. Nic więc właściwie nie zmieniło się po wojnie w ich trybie życia. Dalej ojciec był rzadkim gościem, stale w tajemniczych rozjazdach, wciąż nawiedzony jedynie sobie znaną misją, aż wreszcie któregoś jesiennego dnia stało się to, co się stać musiało: wpadł razem z całą swoją grupą w okolicznościach, o których nigdy potem nie wspominał i odtąd na długo wszelki ślad po nim zaginął. Po przeszło dwóch latach, gdy matka, już prawie bez żadnych nadziei, poruszywszy niebo i ziemię, aby cokolwiek się o nim dowiedzieć, zdawała się w oczach niska od troski i bólu, pojawił się nieoczekiwanie od ojca znak życia. Przeżył straszne śledztwo, tortury, całą tę gehennę, znaną z wielu szepowanych relacji i nie msząc już wiele do stracenia, grając o życie wa banque, zaryzykował w czasie konwojowania karkołomną ucieczkę, która się cudem udała. Minął znowu rok, on, Cyryl, był właśnie świeżo po maturze, już zdecydowany, że wbrew wszystkim okolicznościom wybierze jednak karierę oficera, o której od dziecka marzył, gdy nadszedł pierwszy, tajemniczy list przesłany zaufaną drogą. Ojciec wyznaczał mu spotkanie w dość odległym miasteczku na wschodnich krańcach Mazowsza. Tkwił dalej uparcie w jakichś szczątkowych, podziemnych strukturach, których nie zamierzał opuścić wcześniej, aż wysłczona zostanie wolna Polska. Oświadczył to od razu na samym wstępie, twardym, nieustępliwym głosem i zaraz zmienił temst. Niczego mu wówczas nie zakszywał, niczego nie radził, nie próbował też ani na chwilę odgrywać roli mentora, ale gdy usłyszał od syna, że ten patrzy na świat inaczej, że zamierza zgłosić się ochotniczo do wojska, bo ani myśli płynąć całe życie pod prąd i zmarnować je, tak jak on zmarnował życie matki i jego dzieciństwo - przyjął to wszystko w lodowatym milczeniu. "Zobaczmy" - mruknął tylko na pożegnanie i zaraz, jak zawsze, zniknął, jakby się rozplynął. Ale chociaż obaj pozostali przy swoim, nie wpłynęło to na ich dalsze kontakty. Mijały lata, a oni niezmiennie, kilka razy do roku, naprzekór otaczającemu ich światu, spotykali się w coraz to innych miejscach, broniąc za każdym razem własnych racji. No i dziś, teraz właśnie, ojciec, którego wkrótce po pierwszym spotkaniu bez żadnych skrupułów usmiercił w swojej personalnej ankiecie, miał się znowu zjawić. Ale to, jak tę ankietę wypełnił, pozostawało wstydliwą skazą na sumieniu.

Pewno już czeka, patrzy niecierpliwie na zegarek, może myśli, że skrewił, że się przeląkł. Przecież znał w końcu syna tak mało. Tak niewiele czasu ojciec mu w życiu poświęcił. Zawsze były sprawy inne, ważniejsze.

- Dokąd, obywatelu poruczniku, prosto czy w prawo? - Głos Walkowicka przywrócił go do rzeczywistości. Kończyła się aleja, dojeżdżali do skrzyżowania.

- Skręcaj w Roosevelta!

Rozglądał się teraz uważnie, czujny, napięty, gotowy reagować natchmiast na każdy wrogi gest z zewnątrz. Wciąż nie wiedział co się właściwie dzieje, do czego to wszystko zmierza. Tłum na chodnikach falował, gęstniał z każdą chwilą. Niektórzy kiwali do nich przyjaźnie, nic nie zdradzało żadnych złych zamiarów, ale już z góry od Kaponiery sunęła ku nim zwrta ciżba. To wyglądało groźniej. Bielały w górze transparenty. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i mógł odczytać: WOLNOŚCI, CHLEBA, PRECZ Z KRWIOPIJCAMI, JESTEŚMY GŁODNI.

Walkowiak odruchowo, bez żadnego rozkazu zwolnił, prawie się zatrzymał.

- Jedź, do cholery. Kto ci kazał stawać?

W tym momencie Cyryl zobaczył dwie ładne dziewczyny; podbiegły z

krawężnika i znalazły się tuż przy nich. Coś krzyczały, ale uszy miał zakryte hełmofonem - nic nie słyszał.

- Poczekaj! - zawołał do Walkowiaka. Odchylił hełmofon i wtedy zajązgotał ich szyderczy, nienawistny głos:

- Dokąd się pchasz, pachołku Stalina?!

Było to tak nieoczekiwane, że zamiast się rozzłościć, zachciało mu się śmiać. Kątem oka zobaczył ich zaskoczone taką reakcją twarze. Dziewczyny jakby zawstyżone wtopiły się w tłum, coraz gęstszy, coraz bardziej zwarty. A jemu od razu odeszła ochota do śmiechu.

Wspinali się teraz wolno na pierwszym biegu po pochyłej nawierzchni ulicy Roosevelta. Ludzie rozstępowali się przed nimi z wyraźnym ociąganiem. Masa żelastwa robiła swoje, na jezdni tworzył się wąski korytarz, akurat taki tylko, żeby czołg mógł się przedostać, transparenty zdawały się fruwać w powietrzu, wciąż wyrastały nowe, s wraz z transparentami wznęgały się pokrzykiwania, zapalczyste, nabrzmiałe groźbami i nienawiścią. Nagle, gdy dojeżdżali prawie do Kaponiery, sygnęły się za nimi kamienie, deszcz kamieni. Słyszał ich gęsty, metaliczny stukot, zwielokrotniony przez chrzęst gąsienic, chciał się odwrócić, zawołać do ludzi, żeby przestali, że przecież będą musieli się bronić, gdy poczuł na szyi jakby cięcie nożem. Dotknął palcami skaleczonego miejsca, rozmazał cieknącą krew.

- Nic, nic - mruknął do Walkowiaka, który uniósł głowę i pytająco popatrzył na dowódcę. - Wał szybciej.

Nie było już czasu, aby zająć się sobą. Skręcili na most, przystanęli przed konserwatorium, naprzeciwko budynku milicji. Znajdowali się u celu. Na chodniku, oparty o ścianę stał gipsowy Lenin i martwym wzrokiem patrzył na to, co się dokoła dzieje. Dwóch młodych ludzi w studenckich czapkach szybko melowało coś za nim krwistą, olejną farbą.

- Daj go tutaj. Gotowe! - zawołał ze śmiechem do stojącej obok dziewczyny. Cyryl odczytał napis: "Odwróćmy go do ściany, aby się nie wstydził!". Przeszło mu przez myśl, że wystawiony na pośmiewisko Lenin, to coś więcej niż studencki żart. To chyba już koniec wszystkiego, co wydawało się za szkolnymi murami tak stabilne i trwałe.

Należało teraz wyjść z czołgu i zgłosić się do majora Korolewicza. Jeden rzut oka upewnił go jednak, że to niewykonalne. Przed wejściem tłoczyła się ciżba gęstsza niż na Roosevelta, dobijano się do zamkniętej bramy, wyrażano zwinętymi w kułak dłońmi, ani mowy, aby dostać się do środka. Także dalej w stronę głównego placu miasta, gdzie widniało wielkie, szare gmeszysko Zamku, zamienione na Radę Miejską, z przelegającym niemal do niego Komitetem Wojewódzkim partii, tłum napierał, falował, głowa przy głowie. A ponad głowami czerniły się ogromne litery: **POKOJE DO WYNAJĘCIA**. Niewidoczne ręce posuwały transparent w kierunku Komitetu. Poprzez odchylony z uszu hełmofon docierało do niego niewyraźne dudnienie czyjegós glosu. Stojący w głębi placu na radiowozie mężczyzna przemawiał. Nie można było odróżnić słów, rozbrzmiewały zbyt daleko, ginęły w chrapliwym poszumie. Ale jeden zwrot dobiegał z oddali uparcie i dziwnie wyraźnie: "Bracia i siostry..." Nic więcej, tylko to. Poczuł nieoczekiwanie zaciskającą się na gardle pętlę. Nie bardzo wiedział co się z nim właściwie dzieje. Przecież nie strach. Tego był pewien. Trwało to moment, sekundę, może dwie. I zaraz się opanował, odpiął się gdzieś dziwne złudzenie, że to głos ojca. Gdzie jest teraz? Na pewno nie czeka na niego bezczynnie w kawiarni. To nie on - nie wysiedziałyby ani chwili. Może zresztą warto by sprawdzić. Tak niedaleko, kilkaset metrów stąd. Ale czołgiem tam przecież nie zajędzie. Szybko rozważał co zrobić dalej. Dłużej stać bezczynnie nie miało sensu. Jeszcze chwila, a tłum może skierować się na nich. A wtedy co, jak się zachować?

Drzwi budynku nagle rozwarły się, w progu stanęło kilkunastu oficerów milicji, wśród nich także wyższe szarże i jeden w wojskowym mundurze - major Korolewicz. Któryś zaczął przemawiać, ludzie jakby w za-

skoczeniu wsłuchiwali się. Wtedy podjął decyzję: wyskoczył z czołgu i dał nura w tłum. Nikt go nie zatrzymywał, przebił się do majora bez trudu.

- Odjeżdżaj stąd. Szybko! - zdążył mu powiedzieć tamten, zanim zniknął we wnętrzu. Majorowi to się jeszcze udało, ale paru innych nie zdążyło - ściągnięto ich przed progiem budynku. Do milicjantów przyskoczyli jacyś dwaj w skórzanych fartuchach, chyba pracownicy rzeźni; złowrogie okrzyki towarzyszyły uderzeniom w twarz. Bito tego, który przemawiał. Widocznie musieli ludzi porządnie rozsierdzić. W innym miejscu, bliżej mostu, podrzucano w górę kapita milicji i ten sam tłum krzyczał: "Milicja z nami!". Trudno było cokolwiek z tego zrozumieć.

- Ruszaj! - powiedział do Walkowiaka, który wychylony z czołgu cały czas odprowadzał go wzrokiem, gotowy w każdej chwili przyjść mu z pomocą.

- Dokąd, obywatelu poruczniku? Wszędzie gęsto, nie wiadomo czy uda się przebić.

- Jedź na most, a potem w Dąbrowskiego. Może tam będzie luźniej.

- Powiedział to na chybił trafił, po to, aby w ogóle wydać jakiś rozkaz, bo w gruncie rzeczy dalej nie wiedział co robić.

Nie zdołali jednak przejechać mostu. Stały tam długim rzędem unieruchomione tramwaje. Wtem jeden z wozów gwałtownie zaczął się przechylać. Jeszcze sekunda i zorientowali się, że kołyszą go ludzkie ręce; w ten sposób chciano im zagrozić drogę.

- W lewo, skręcaj w lewo! - krzyknął do Walkowiaka.

W ostatnim momencie kierowca zdołał wykonać manewr i ominąć tramwaj, pochylony już niemal nad brukiem. W tej właśnie chwili z tłumy wyskoczył jakiś niemłody człowiek w roboczym kombinezonie i szeroko rozpostarł ramiona, jak gdyby chciał nimi objąć cały czołg. Był blisko, niebezpiecznie blisko. Jego blada, wychudzona twarz, okolona zmierzwioną, przedczesną siwizną, wyrażała zdecydowanie i desperację. W ułamku sekundy Cyryl uzmysłowił sobie kogo mu przypomina: tak właśnie wyglądał ojciec, gdy po raz pierwszy zobaczył go po wyjściu Niemców.

Nie zdążył wydobyć ani słowa z gardła; uprzedził go Walkowiak.

- Jezus Maria, po nim! - usłyszał jego głuchy, zmartwiał głos. Mężczyzna nie ruszał się, stał jakby skamieniały, dzieliło ich już tylko parę metrów. Cyryl zamknął oczy, czuł pot spływający ciurkiem z czoła. Gwałtowne szarpnięcia i skręt w bok ku żelaznej balustradzie. Zatrzymali się przy samej krawędzi mostu, jeszcze trochę, a krucha przeszkoda byłaby zgnieciona, a oni stoczyliby się w dół na kolejowe tory. Rozejrzał się. Człowiek w kombinezonie był cały i zdrowy. I już nie zwracał na nich uwagi. Coś krzyczał, komuś innemu wygrażał. Odetchnął z ulgą.

Przetoczyli się bez przeszkód w stronę Mickiewicza. Wszędzie było gęsto od ludzi, ale nikt nie próbował ich już zatrzymać. Uwaga tłumy kierowała się teraz na wysoki, narożnikowy budynek Ubezpieczalni Społecznej. Niewielka grupa z głośnym zawołaniem: "Idziemy na pajęczynę! Koniec z zagłuszarką!" wyskoczyła z jakiejś bramy. W chwilę potem coś ciężkiego i niekształtnego upadło tuż przed nimi. Przyhamowali gwałtownie. Rozbrzmiały zewsząd oklaski i radosne okrzyki. Cyryl nie miał czasu, aby się zastanowić co to takiego; na tle błękitnego nieba zobaczył dwie kędzierzawe czupryny. Chłopcy wskoczyli na czołg i podnieśli kłape, która nie zamykała się jak należy. Posłał w myśli soczyste przekleństwo pod adresem mechaników. Wychylił się z wieży. Tamci dwaj popatrzyli na niego niepewnie i zeskokczyli na bruk. W tej samej chwili usłyszał uderzenie o pancerz. Poczuł piekący ból w okolicach karku, niedaleko wciąż jeszcze krwawiącej rąki. Jego hełmofon tlił się, języki ognia gwałtownie przeskakiwały z miejsca na miejsce, śwad spalenizny rozteczał się szeroko. Ze środka czołgu wyskoczyli piechurzy,

pospiesznie odbezpieczyli peemy i bez żadnej komendy, wyraźnie uciszając własny lęk, walnęli po kilka serii w powietrze. Strzwały zamiast odstraszyć, ściągnęły ku nim jeszcze więcej ludzi; tłum otaczał ich coraz ciałniejszym kołem.

Ogień zwolna gasł, nic już nie groziło czołgowi, ale oni, żywa załoga, czuli się z każdą chwilą bardziej zagrożeni. Jakąs decyzję należało podjąć, tylko jaką? Cyryl jednego był pewien: strzelać do bezbronych nie będzie. Na to zdobyć się nie potrafi. Po raz któryś tego dnia poczuł się w ślepej uliczce. Jakie znaleźć z niej wyjście? Na przekór własnej decyzji, niemal odruchowo wyrwał z kabury pistolet, trzymał go w ręku, wycelowany w stronę znieruchomiałych nagle sylwetek. To znieruchomienie trwało moment, wiedział, że tym gestem ludzi zaskoczył, ale przecież zaraz to minie i zwartą gromadą znowu ruszą do przodu. Wyczuwał desperację tej zbuntowanej, bezimiennej masy, gotowej na wszystko, także chyba i na to, aby im skoczyć do gardeł. Zimna stal pistoletu wilgotniała w dłoniach, prawie parzyła, w gardle czuł przyspieszony stukot. Co robić? Jak się zachować? Widział wlepiony w swoją twarz wzrok trzech piechurów, którym kazał opuścić broń i odwrócić się do tłumu tyłem. Spojrzenie ich wyrażało strach i niepomierne zdziwienie: to co działo się dokoła zdawało się wciąż do nich nie docierać.

Gwałtownie wdarł się w uszy przeciągły klakson samochodu. Na jezdni i chodnikach zafalowało. Wolno przebiła się poprzez gęstą ciżbę samochód wyładowany wojskiem. Cyryl bez trudu rozpoznał pierwszoroczniaków ze Szkoły, błysnęły przy kierowcy rogowe okulary podpułkownika Krajańczyka. Drzwi szoferki otwarły się, Krajańczyk z twarzą nieawistnie wykrzywną stanął na stopniach. W dłoniach nerwowo zeciskał granat.

- Rozejść się! Natychmiast się rozejść! - rozległ się jego głos.
- Ostrzegam: jak się nie rozejdziecie, to go rzucę!

Coś jeszcze mówił, czymś groził, ale na nikim nie robiło to żadnego wrażenia; słowa ginęły wśród gwałtownych gwizdów.

- Rzucaj, sukinyunie! Na co czekasz?! - przebił się czyjś złowrożeby okrzyk, do którego dołączyło się kilka soczystych wyzwisk.

Pułkownik cofnął się, strzeliły pospiesznie zatrzaśnięte drzwi ciężarówki. W ślad za ruszającym samochodem rozbrzmiały nieoczekiwane słowa hymnu. Zabrzmiały jak wyzwanie. Melodię podjęła od razu cała ulica. Wyskoczyła ponad dachy domów równym, zgodnym rytmem, jakby pod czyjąś niewidoczną batutą. Ale przecież nigdzie nie było żadnego dyrygenta. Wszystko to działo się samoistnie, bez komend i nawoływania.

Cyryl, wciąż z pistoletem gotowym do strzału, poczuł się głupio, jak nigdy chyba dotąd. Ledwo dostrzegalnym ruchem schował pistolet do kabury; od razu poczuł ulgę. Był pewien, że nikt tego nie zauważy, ale przed tymi, którzy stali najbliżej, nie mógł ująć żaden jego gest - patrzono na niego z czujną uwagą. Czuł na sobie spojrzenie wielu par oczu i to jeszcze bardziej potęgowało rozterkę. Rozległy się okłaski, wyrósł przed nim las rąk. Ten prosty odruch wzbudził do niego wyrażną sympatię.

- Niech żyje wojsko! Wojsko z nami!

Okrzyki narastały, stawały się coraz głośniejsze. Już przy hymnie, oparty o wieżyczkę czołgu, pyzaty piechur nie potrafił zachować objętności i śpiewał razem ze wszystkimi. Teraz drapał się palcem pod okiem, a rozmazywane łzy toczyły się po policzkach. Cyryl poczuł, że i jemu niewiele brakuje, łaskotanie w gardle narastało, ale nagle otrzeźwiał: ktoś z tłumu celował w niego aparatem fotograficznym. Kim był ten ktoś i jakie miał intencje nie było ważne. W żadnym wypadku nikt takiego zdjęcia nie mógł zobaczyć.

- Wolno naprzód. Próbuje się stąd wydostać - rzucił za siebie do Walkowiaka.

Wytoczyli się bez przeszkód na ulicę Dąbrowskiego, tyle, że już z

kilkunastoma pasażerami na grzbiecie; wskoczyli na czołg i z triumfem oznajmiali wszystkim, że "to nasz czołg i nasi żołnierze". Byli głusi na prośby i groźby Cyryla; za nic nie chcieli zejść na jezdnię. Wiwaty, brawa i dochodzące zewsząd radosne okrzyki utwierdzały ich, że ta braterska wspólnota znajdujące u ludzi uznanie. Dopiero widok kolumny wojskowych samochodów, nadciągających od strony lotniska na Ławicy, zrobił swoje - zeskoczyli i dołączyli do tłumu na chodnikach. Od razu nastrój się zmienił; powiało negłą grozą.

Kiedy czołowy samochód zrównał się z czołgiem Cyryl rozpoznał majora Sinko, tego najważniejszego z Informacji. Miał na głowie bojowy hełm i peem gotowy do strzału.

- Dokąd, Kowalik? - wrzasnął, zatrzymując się tuż przy opustoszałym nagle pancерzu. - Zawracaj netychmiast! Na co czekasz? Szybko na Kochanowskiego bronić tam budynków. Strzelaj, jeśli trzeba. Zrozumiałeś?

Potwierdzając rozkaz Cyryl zaklął bezgłośnie. Że też na niego musiało to trafić. Pomyślał z zazdrością o Zasadnym: ten miał nosa, wiedział kiedy zachorować. A on co? Utknął jakby w kleszczach. Nieśmiało przypuszczenie coraz bardziej zamieniało się w pewność. Uzmysłowił sobie, że tkwi to w nim od samego początku, gdy tylko zobaczył co się dzieje. Ale na przekór temu, co wydawało mu się już niemal pewne, podał komendę:

- Podnieść działko, chłopcy. Lufa erkaemu na dwa metry do góry! - Wypowiedział to nieswoim, przytłumionym głosem, notując równocześnie w myśli, że i tak nikomu nic się stać nie powinno, że w najgorszym razie strzały pójdą wysoko ponad głowami.

Wypadki biegły teraz szybko, a sytuacja zmieniała się z każdą chwilą. Wjazd na Kochanowskiego był już zabarykadowany: przewrócony tramwaj i potężna, parotonowa ciężarówka. Dla IS-2 nie było to żadną przeszkodą. Bez trudu staranowali ciężarówkę i osłonięci drzewami zatrzymali się u wylotu ulicy, lekko opadającej w dół. Tu kończyła się już manifestacja, okrzyki, transparenty, a trwała regularna walka. Z okien Urzędu spływały na szarżujący tłum, naprzemian strumienie wody z grubych węży i krótkie serie z broni maszynowej. Na bruku leżeli ranni i zabici, ale nic nie powstrzymywało atakujących. Z pobliskiego szpitala wybiegały szybko postacie w białych kitlach. Lekarze i pielęgniarki, przebijając się z trudem przez jezdnię i chodniki, zgarniali ciała na nosze i znikali równie szybko, jak się pojawiali.

Poprzez wzmagającą się strzelaninę docierało raz po raz głuche dudnienie. Ktoś z tłumu próbował łomem sforsować bramę głównego budynku. Nagle dudnienie urwało się - krótka seria i mężczyzna w zielonkawej koszuli zwałił się na ziemię. Tuż przy nim wyrosły wysoko ponad głowami białe-czerwone chorągwie. Powiewały nimi dwie młode tramwajarki, torując drogę oddziałowi uzbrojonemu w kamienie i butelki zapalające. Krok po kroku nisko pochyleni ludzie zbliżali się do tego szarego budynku, na który szedł najsilniejszy atak. Tłum usuwał się, nieruchomiejąc w milczącym półkolu. Nacierający byli tuż przed bramą, gdy tramwajarki, przecięte ognistą salwą z najniższego piętra, upadły na bruk, a obok nich wypuszczone z rąk sztandary. Ludzkie mrowie drgnęło, zdawało się, że kto żyw z gołymi rękami rzuci się na budynek, że nastąpi masakra, ale w tym momencie jakby z pod ziemi wyrósł mały, kilkunastoletni chłopiec; podniósł chorągiew, uniósł ją wysoko i zakołysał nią raz i drugi. Było to tak nieoczekiwane, że tłum na ulicy i ci w oknach zamarli; strzały umilkły i zrobiło się zupełnie cicho.

Trwało to nie więcej niż kilkanaście sekund. I zaraz strzelanina rozbrzmiała ze zdwojoną siłą. Wysoko buchnęły naraz ciemne kłęby dymu. Gęstniały w oczach, przesłaniały coraz bardziej widoczność. Dopiero po pewnej chwili można się było zorientować, że szturm na budynek szedł teraz pod osłoną zapalonych beczek ze smołą. Raz po raz wyłaniały się i znikwały w rozprzestrzeniających się szeroko oparach sylwetki uzbrojone już w karabiny i automaty.

Z wąskiej przecznicy wytoczyły się wolno dwa czołgi - jeden i tuż za nim drugi. Cyryl dałby wiele, żeby wiedzieć kto nimi dowodzi i czy odważy się strzelać do ludzi. Serce podchodziło mu niemal do gardła - strzela, czy nie. To jedno było ważne, nic poza tym. Odpiął haftkę pod kołnierzem, otarł wierzchem dłoni pot z czoła, odchylił hełmofon, słyszał jak Walkowiak coś do niego mówi, o coś pyta, ale jego słowa do niego nie docierały. Coraz bardziej upewniał się we własnej decyzji: choćby miał stanąć pod murem on strzelać nie będzie. Szybko i nieskładnie przemykały mu w pamięci strzepy ojcowskich opowieści. Dokładnie tkwiło mu w uszach to, co ojciec powiedział przy ostatnim spotkaniu: "Wierzysz w to co wygodniej, chłopcze. A jak się nie wierzy, to jakże łatwo sobie tę wiarę wmówić. Zwłaszcza jak ci bez przerwy wbijają do głowy, że białe, to wcale nie białe, a czarne i odwrotnie - że czarne ma w istocie kolor lśniącej bieli. I ani się spostrzeżesz, jak zostajesz wciągnięty do tego bezmyślnego chóru piewów, a stąd już tylko krok do każdego świństwa, do każdej zbrodni!"

Przeterał oczy. To co zobaczył w rozwiewanej przez wiatr smudze dymu było chyba złudzeniem, tak nierealny wydawał się ten obraz. Niewiadomo przez kogo dowodzone czołgi najwyraźniej nacierały na bramy Urzędu. Pod ich osłoną biegli cywile, sporo ich było, wszyscy z bronią w rękę. Gęste serie krzyżowały się; padały zewsząd - z gmachów, gdzie bronili się ubowcy, z przyległych domów, ze strychów, piwnic, dachów i podwórek.

Poprzez odgłosy walki przebijało się skądś narastające dudnienie: radiowóz. Tubalny głos oznajmiał wolno i dobitnie: "W kraju dokonano przewrotu - gmach UB jest ostatnim bastionem obalonego reżimu!". Słowa te dotarły do Cyryla razem z trzaskiem pękającego pnia i łamiących się gałęzi. Nad głową rozbłysły pospieszne serie, nie wiadomo, przypadkowe, czy skierowane do nich. Były sygnałem, że należało się stąd ruszyć. Tylko w jakim kierunku?

Od Dąbrowskiego nadjeżdżała furgonetka wyładowana uzbrojonymi ludźmi. Zahamowała tuż przed nimi. Sprawnie i szybko, od razu gotowi do walki, ci z furgonetki zajmowali pozycje po obu stronach ulicy. Ten kto nimi dowodził, siwiejący, dorodny mężczyzna dobiegający pięćdziesiątki, odwrócił się nagle i krzyknął w stronę Cyryla:

- Pan z kim, poruczniku? Niech się pan decyduje!

Nie czekając na odpowiedź odwrócił się, gestami rąk dając swoim znaki, aby skokami przesuwali się do przodu. Nie wszystkim się to udało. Bębniące po bruku serie zmiotły od razu kilku. Mignęła w pobliżu biel lekarskiego fartucha, uniesione w górę nosze pospiesznie dźwignęły rannych. Reszta bez ociągania, padając i podnosząc się, biegła za dowódcą.

- Ruszaj przed nimi. Osłaniaj ich!

Walkowiak, już z nogą na gazie, jakby pewien takiego właśnie rozkazu uniósł w górę rozradowaną twarz i skinął głową.

Zgrzyt gąsienic, dudniąca kanonada i gromkie "hura" trzech wychylonych z czołgu strzelców zmieszało się teraz w jedno.

JERZY KORCZAK

LIST DO REDAKCJI

Zacnę od sprecyzowania pozycji z jakich przedstawiona zostanie poniższa krytyka. Obca jest mi tradycja i ideologia lewicowa, bliskie koncepcje liberalne. Bardziej niż pokrewnie ideową cenię jednak jakość i w związku z powyższym jestem stałym czytelnikiem i sympatykiem "Bez Dekretu", w tym publicystyki Jerzego Surdykowskiego, którego uważam za cenny nabytek w wąziej małopolskiej lewicy. Będzie to więc życzliwa krytyka w stylu bliskim krytykowanemu, czyli "Jaka lewica jest Polsce niepotrzebna".

Pan Jerzy jako zawodowy żurnalista pisze z dużą swadą, zamaszycie, zapewne szybko i przyzwyczajony jest do cyklu produkcyjnego, w którym nie ma czasu na żmudną pracę nad tekstem. Ważny czytelnik uśmiecha się pod wąsem, gdy w jednym zdaniu czyta, że "Myśli staroświeckiego Polaka" Piotra Wierzbickiego to pozycja, "na którą szkoda papieru", a już w następnym, że "jest to książeczka sympatyczna i pożyteczna".

Zarzut poważniejszy dotyczy przydatności i rzetelności klasowej analizy uprawianej przez naszego autora. Z jednej strony deklaruje on za Władimirem Bukowskim anachroniczność podziałów na lewicę i prawicę, z drugiej posługuje się /nieświadomie?/ analizą klasową. Czym skorupka za młodu nasiąknie etc.?

Przykład I: Zaserwowano nam opis stereotypu polskiego plebeja, "który w ostatecznym rachunku zawsze płacił i płaci za wszystko", przeciwstawionego jakiemś mitycznemu "Kraskowskiemu Przedmieściu, które pierwsze wsiądzie do odjeżdżających we właściwą stronę pociągów". Po pierwsze: kto to jest Krakowskie Przedmieście i w którą stronę jedą dziś je-gody pociągi? J.S. zarzuca publikacjom prawicowym hermetyczność języka. Przyganiał kocioł garnkowi. Można się domyśleć, że Krakowskie Przedmieście to "nie plebej" czyli "klasy wyższe". Jeśli tak, to opis Surdykowskiego jest jawnie nieuczciwy: terror hitlerowski i stalinowski skierowany był szczególnie przeciw "klasom wyższym". Do tego należy dodać powojenny terror rodziny, realizowany w znacznej mierze rękami o-wych oszukanych dzieci plebejów z ZMW. Po drugie: co ma wnieść do naszego rozumienia rzeczywistości ów podział narodu polskiego na "plebei" i "Krakowskie Przedmieście" i licytacja, która strona więcej wycierpiała? Czy rozliczając się z socjalizmem w naszej części świata nie wystarczy powtórzyć za Bukowskim że wszyscy jesteśmy z obozu koncentracyjnego?

Przykład II. Dowiadujemy się od J.S., że "dzisiejsza prawica reprezentuje interesy grup inteligencji polskiej blisko związanych z Kościołem". Nie chciałbym być posądzony o złośliwość, ale czytelnik, który nie ukończył wieczorowego uniwersytetu marksizmu-leninizmu, nie jest w stanie zrozumieć o co tu chodzi. Dzisiejsza polska prawica przestrzega gospodarkę jako narodowy problem nr 1 i wysuwa żądania jej uzdrowienia poprzez wprowadzenie mechanizmów rynkowych jako ważniejsze niż żądania demokratyzacji. Jak się to ma do interesów inteligencji związanej z Kościołem? Przecież, mówiąc słowami autora "bać się mogą /takiego programu/ tylko zdemoralizowane przez "realsocjalistyczną" tolerancję obiboki". Dla chłopa, dla robotnika, dla inteligenta, związanego czy nie związanego to tylko czysty zysk. Jeśli o mnie chodzi, to Kisielową partię drobnych producentów też uznałbym za reprezentanta moich interesów, ale nie dlatego że inteligent i czuję się blisko związany z Kościołem, ale jako konsument, który chce móc kupować co tamci w konkurencji o mnie-klienta wyprodukują. Apeluje: dajmy sobie spokój z klasami, ale nie porzucajmy obozów prawicy i lewicy. Społeczeństwo jest systemem naczyń połączonych i najlepiej wychodzi na swoje, gdy konkurują ze sobą prawicowe i lewicowe recepty na optymalizację

cję jego funkcjonowania. Zrozumieli to dawno Amerykanie i nieźle się mają. Zamiast wyrwać sobie to co jest, lepiej zastanowić się wspólnie jak najtaniej wyprodukować więcej do podziąka.

Mój kolejny zarzut dotyczy stwierdzeń ekonomicznych autora. Pisze on pod adresem swoich pravicowych oponentów, że "o gospodarce trzeba dyskutować ze znajomością gospodarki zachodniej". Święta prawda, sęk w tym, że praktycznie wszyscy jesteśmy w tej materii ignorantami po czterdziestu latach życia w "społeczeństwie rozwiniętego socjalizmu". Pozostaje się douczać, a póki co unikać ferowania sądów kategorycznych. Tymczasem naaz autor stwierdza: "Problemem polskiej gospodarki nie jest bynajmniej pytanie: jak odbudować tu kapitalizm? Tylko szalenie będzie wyprzedawał dzisiejszy majątek narodowy...". Sądy takie wypowiedać można - proszę bardzo - ale jako swoje prywatne opinie lub opinie jakiejś lewicy, a nie jako prawdy objawione. Ogromna i ciągle rosnąca ilość ludzi w Polsce jest zdania, że jedyną szansą dla Polski jest odbudowa rynkowych stosunków produkcji, gdyż gospodarka planowa skompromitowała się definitywnie jako alternatywa. Nie jest to polski wynsłek: wszędzie w obozie myśli się głośnieję lub ciszej ale podobnie, a Chińczycy pierwsi i z rozmachem wprowadzają to myślenie w czyn. Czy może istnieć gospodarka rynkowa bez rynku kapitałowego? Też się nie znam na ekonomii, ale, o ile wiem, przypadku takiego dotąd nie stwierdzono. Zatem odbudowa rynku, którą postuluje sam autor, to odbudowa kapitalizmu, czy ktoś lubi to słowo, czy też nie. A dlaczego by nie przyklasnąć sprzedazy akcjonariuszom krajowym czy zagranicznym "majątku narodowego" czyli Huty Lenina? Państwa biją się dziś o obcy kapitał, oferując mu najrozmaitsze zachęty i ulgi. Gdyby tylko udało się sprzedać komuś Hutę, należałoby to natychmiast uczynić, a uzyskane pieniądze zainwestować rozsądniej. Nawet polski ustawodawca wykazuje w tym zakresie więcej wyobraźni niż Surdykowski: właśnie wpłynął do sejmu projekt ustawy o spółkach z udziałem kapitału zagranicznego. Jeśli można tworzyć nowe firmy tego typu, to dlaczego nie ożywić istniejących zastrzykiem zagranicznego czy prywatnego kapitału? I dlaczego Huta Lenina to "majątek narodowy" a piekarnia pana Kowalskiego nie? Nawet w warunkach rynkowych okazuje się, że własność państwowa jest nsjmniej efektywną formą własności i jesteśmy właśnie świadkami jej wyprzedazy w ręce prywatne w szeregu krajów. W Stanach Zjednoczonych, które przecież nieźle sobie radzą, własność państwowa w przemyśle /majątek nsrodowy?/ w ogóle nie istnieje. Ostatnio wystawiono tam na sprzedaż nswet kolej pasażerską, którą rząd federalny kupił jakiś czas temu aby uchronić ją od bankructwa. Reasumując: można być zwolennikiem utrzymania nacjonalizacji przemysłu kluczowego, sje jest to pogląd wielce dyskusyjny i wymaga rzetelnej obrony, a nie ogłaszania jako dogmatu. Można nie chcieć restauracji kapitalizmu na wzór zachodni i marzyć o jskimś nowym ustroju - syntezie rynku i planu, lecz w takim przypadku warto by nam objaśnić, na czym to nowe ma polegać i dlaczego będzie lepsze od starego i wypróbowanego. Ja i paru rodaków mamy już serdecznie dość roli przedmiotu takich eksperymentów i chętnie odstąpilibyśmy ten zaszczyt jakiejś innej nacji. Inna sprswa, że w toku ewolucyjnej restauracji rynku, która zapewne prędzej czy później w Polsce się zacznie, takie "nowe" może się urodzić. Bałbym się jednsk każdego nowego, zaprojektowanego przez najinteligentniejszych nawet ekonomistów.

Ostatnie zastrzeżenie jest natury historycznej i dotyczy opisu stosunku "plebeja" do Kościoła. Tak jak to przedstawia J.S. plebej powrócił na łono Kościoła z braku innych alternatyw, gdy "podeptano i opluto jego świeckie, "socjalistyczne" zswierzenia". Jest to teza, którą dałoby się właściwie zweryfikować precyzyjnie metodami ankietowymi i być może ktoś to już robi. Według mojej percepcji, ruch "Solidarności" związany był z Kościołem od smego początku również mocno jak po wprowadzeniu stanu wojennego. Od "wojny" Kościół zastępczo przyjął liczne inicjatywy, które w warunkach normslnych rozwjsiłyby się nie-

zśleźnie, i stąd wrszenie gwałtownego zwrotu. Pamiętajmy, że krskowski "plebej" rozpoczął proces kształtowania swojej obecnej świadomości od walki o kościół w Nowej Hucie.

CENTRYSTA

Odpowiedź Jerzego Surdykowskiego:

To co miałem do powiedzenia, powiedziałem w tekście. Koledze Centryście dziękuję i proszę o jeszcze.

J.S.

TUMANY I FETYSZE

Szare okulary

Już dawno chciałem napisać o kolorach. Szczególnie teraz, gdy kończy się lato, ludzie wracają z zagranicy, opaleni, przywczą różowe spodnie, fioletowe sweterki, przetykane złotą nitką turkusowe majtki i dziwią się, że to, co było tam żywe i kolorowe nagle blednie, matowieje. Bo tu nie ma kolorów, nawet czerwień na sztandarach nie jest czerwona tylko socjalistyczna. Komuniści, oprócz wielu zbrodni, popełnili jeszcze jedną, której nikt im do tej pory nie wypomni. Zabraли, ukradli, zniszczyli zwykłe kolory. Pozostawili nam szarość, którą rozkładamy na wszystkie barwy i oszukujemy się, że coś jest zielone a coś żółte. Nie, tu istnieje tylko szarość - w podmiejskim pociągu, w tramwaju, szarość budynków, szarość słów, szarość twarzy. I poruszamy się w tym wolno, ociężale, niezgrabnie. Tu idea Msrksa i Lenina jest wечно żywa, wśród kolorów panuje równość, nic się nie wywyższa, nic nie odstaje, wszystkie dostały po równo szarości. I nikt z nas niczego nie zauważa, przyzwyczajają się oczy, wyrabiają się gusta. Aż nagle pojswia się czern. Przez mgłę, przez wyblakły dzień przebija się żałobna, głęboka, prswdziws czern. I my wobec niej stsujemy się nagle prawdziwi. Tę czern zostawili nam nietkniętą, jakby bojąc się ingerować w ten jedyny kolor. Ale również przez czern można zacząć widzieć, ona również może stać się niebezpieczna. Ten ocalały kolor, pełen smutku i żalu, żyje. Żyje naprawdę, choć żyja tragicznie. Oni nad czernią nie mają władzy i ona ich pochłonie.

KONRAD STRUGA

MYŚLI I ABSURDESKI

Gdy rozum śpi... czuwają gwsrsncje.

Kiedy słyszę: list otwarty, zawsze pytam: przez kogo?

Doświadczenie życiowe nabywamy z wiekiem. Szkoda tylko, że najczęściej jest to wieko trumny.

Tamy są zdolne ujarzmić bieg rzek. Bieg myśli mogą jedynie umocnić.

Klasyczne fsux-pas - powiedzieć ksmeleonowi: Ależ, psn się nic nie zmieni!

Dawniej człowiek często gubił się w domysłach; obecnie nadmier domysłów często gubi człowieka.

Miałem cudowny sen. Śniło mi się, że byłem wolna sobota i nie musiałem iść do pracy. Niestety obudziłem się, a rozczsrowanie moje nie miało grsnic. Okazało się bowiem, że była właśnie wolna sobota i właśnie byłem w pracy.

Dylemat publicysty: Pisać, co pójdzie? Jakoś nie uchodzi. Pisać co uchodzi? Kiedy nie pójdzie...

O wyższości tajnego głosowania - po jawnym zawsze muszą opisać ręce.

Kajdany łączą.

Ze strachu zlsł się. Z tłem.

Niektórym nsdgorliwcom przyświecsją cele, sby cele nigdy nie świeciły pustką.

Uderz w stół cenzors, s nożyce się odezwą.

Racjs rządzących ksst - kastracja.

JANUSZ R. KOWALCZYK

Cena 300 zł